W NUMERZE: ■ Miliard każdego dnia ■ Polska szkoła w Villard de Lans ■ Widzewski western ■ Z „Orbisem" dookoła świata ■ Kair – Największa wieś świata ■ Magazyn kulturalny ■ Wiersze Tadeusza Chróścielewskiego

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 32 (1078) ROK XXI 6 SIERPNIA 1978 R. CENA 3 ZŁ

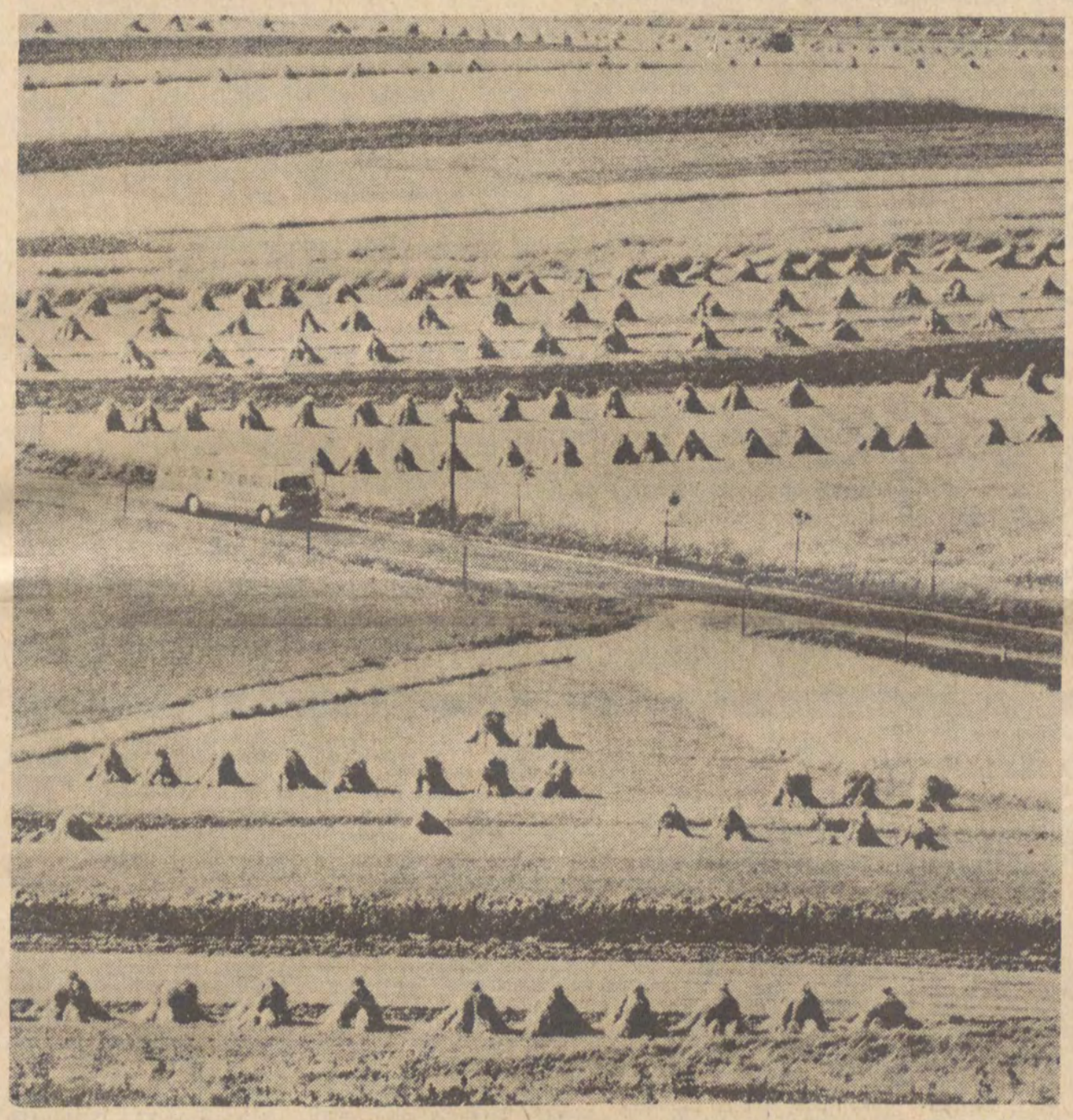

Foto: Archiwum

RYSZARD BINKOWSKI

SPIĘTRZENIE

Już pod koniec czerwca było wiadomo, że do żniw, tej najważniejszej kampanii rolniczej, która jest uwieńczeniem całorocznej, trudnej pracy rolników w czterech województwach: piotrkowskim, skierniewickim, sieradzkim i miejskim łódzkim, ruszy pół tysiąca „Bizonów", sto pięćdziesiąt kombajnów typu „Vistula" dwa tysiące osiemset wiązałek, sześćset pras zbierających, pięćset przyczep samozbierających, kilkadziesiąt tysięcy żniwiarek i kosiarek, młocarni i prawie trzynaście tysięcy ciągników.

Uruchomiono połączenia telefoniczne, dalekopisowe i radiotelefoniczne ze składnicami, fabrykami maszyn żniwnych i dyrekcjami ośrodków maszynowych, przygotowano samochody do bezpośrednich dostaw części zamiennych.

Do dyspozycji łódzkiej „Agromy" oddano dwa samoloty.

Tysiące ludzi — traktorzystów, mechanizatorów, rolników i handlowców — stanęło na wysokości zadania. Handlowcy również? Tak, bo nie chodzi tylko o to, żeby zaopatrzyć sklepy w artykuły spożywcze, ale żeby w punktach GS nie zabrakło części zamiennych do lżejszego, chłopskiego sprzętu żniwnego: kompletnych kos do kosiarek, nożyków do kos, smarów, oliwy, sznurków, grabi i kos ręcznych. Bo mimo sumiennego przygotowania ze strony SKR, POM i rolników indywidualnych, trzeba się jeszcze liczyć z kaprysami pogody. Podczas ubiegłorocznych długich i mokrych żniw, maszyny bardzo ucierpiały i były kłopoty.

Wszystkie te dane, być może nużące, brzmią jak raport przed rozpoczęciem frontowej ofensywy, ale co by nie wymyślić — żniwa są wielką batalią i tego nie da się pominąć.

Ofensywę więc przygotowano, lecz pogoda (piszę to 18 lipca), znowu spłatała figla. Starzy ludzie wspominają, że żniwa zaczynały się pod koniec czerwca. Młodsi tego nie pamiętają, ale zgodnie twierdzą, że kończyły się 22 lipca.

W tym roku zaczną się po 22 lipca.

W kolonii Bałucz, w gminie Łask, mówi się, że „Bizony" stoją, a obok przytupują chłopi w kożuchach.

A tak na poważnie w głosach rolników brzmi troska.

— Prawie równocześnie dojrzewają wszystkie zboża: żyto, pszenica, jęczmień i owies. Nastąpi ogromne spiętrzenie prac i trzeba będzie nadludzkiego wysiłku, żeby wszystkiemu podołać.

— Kombajny będą musiały kosić nocą, a o niedzielach i świętach trzeba zapomnieć...

Dalszy ciąg na str. 5

KAZIMIERZ RUSSEK

SPRAWY BLISKIE i TRUDNE

Z wielu pięknych kart historii Związku Młodzieży Polskiej, stosunkowo mało znana jest, jakże chlubna i szlachetna, działalność tej organizacji w rozwiązywaniu osobistych spraw młodzieży, jej codziennych problemów i trudności. Dostarczało ich niemało ówczesne burzliwe i nielatwe życie, a jeśli nie są szerzej znane, godne uwagi ich niektóre szczegóły, to głównie dlatego, że załatwiono je bez wielkiego rozgłosu, prawie niezauważalnie, w pozornym spokoju.

W bogatym dorobku łódzkiej organizacji ZMP jest wiele wspaniałych przykładów potwierdzających serdeczną troskę i głęboką wrażliwość, z jaką odnosiło się do tych spraw jej kierownictwo. Szczególne wartości utrwaliła historia lat 1953—1956, kiedy to po uchwale Biura Politycznego KC PZPR w sprawie rozpatrywania skarg, zażaleń i listów, instancje i organizacje zetempowskie podjęły i rozwinęły z inspiracji i za przykładem partii, szeroką działalność. Warto odnotować niektóre z przykładów — nie tylko z kronikarskiego obowiązku — w 30 rocznicę powstania ZMP.

Dalszy ciąg na str. 3

JERZY WILMAŃSKI

ZMP

Moja pierwsza miłość w zielonej koszuli
w przepoconych skarpetkach
w butach cioci UNRRY

Z lewa zacinał deszcz
z prawa zacinał wiatr
deptaliśmy błoto rozkisłych kartoflisk

Nie mieliśmy w tornistrach wierszy Jesienina
za poezję starczał Notatnik Prelegenta
Było prosto i pięknie w tę deszczową jesień
Mój pierwszy krawat miał kolor czerwony
nie umiałem go związać
ktoś to zrobił za mnie
nie chciałem go rozsupłać
ktoś to zrobił za mnie

Moja pierwsza miłość
moja pierwsza ufność

Szliśmy ulicami skandując donośnie
„Reakcji nie boimy się"

Dziś nie boimy się własnych wspomnień
to więcej niż wówczas można było przeczuć

(Wiersz z tomu „Tylko słowa", Wyd. Łódzkie 1976)

PIERWSZE PÓŁROCZE 1978 r.
W OCENIE PLENUM KŁ

Tradycyjnym zwyczajem, pod koniec lipca zbierają się komitety wojewódzkie partii na swych plenarnych posiedzeniach, aby ocenić wyniki społeczno-gospodarcze. Plenum KŁ PZPR z udziałem tow. Jerzego Łukaszewicza odbyło się 27 lipca. Obradom przewodniczył I sekretarz KŁ, tow. Bolesław Koperski, a referat Egzekutywy przedstawił sekretarz KŁ, tow. Tadeusz Czechowicz.

Ocena łódzkiej instancji obejmowała wszystkie podstawowe dziedziny życia społeczno-gospodarczego z podkreśleniem tych problemów, jak np. poprawa zaopatrzenia rynku, racjonalna gospodarka materiałami i surowcami, jakość i nowoczesność produkcji, wzrost eksportu, polityka kadrowa.

Z oceny tej wynika, że rezultaty osiągnięte w I półroczu 1978 roku przez gospodarkę miejskiego województwa łódzkiego są pomyślne. Przemysł przekroczył zadania produkcyjne o ok. 900 mln zł, w tym produkcję rynkową o 350 mln. Ogólna wartość produkcji wyniosła 88,5 miliarda zł i w porównaniu z I półroczem ub. r. wzrosła o 6,3 proc. Dostawy na rynek w tym samym okresie zwiększone zostały o 7,1 proc., a produkcja eksportowa wzrosła o 7,9 proc. Jednak 25 zakładów nie wykonało swoich zadań w zakresie sprzedaży wyrobów, robót i usług wartości ok. 580 mln zł. Są to m. in. ZPP „Feniks", ZPDz. „Bistona", Łódzka Fabryka Mebli, Łódzka Wytwórnia Papierosów. Również osiem spółdzielni pracy nie wykonało zadań, zalegając z dostawami na rynek o wartości ok. 76 mln złotych.

Jak widać z zestawienia powyższych liczb, wyniki ogólne mogły być jeszcze lepsze. Jednak na niższe niż planowano zaawansowanie prac i półrocza miały dość znaczny wpływ nierytmiczne dostawy materiałów, surowców i części zamiennych, nadmierna absencja chorobowa i kłopoty z uzyskaniem pełnego zatrudnienia, a także zakłócenia w dostarczaniu energii w I kwartale br. Powyższe czynniki należy wziąć pod uwagę, ale nie mogą one całkowicie usprawiedliwić powstałych zaległości w produkcji i usługach. Zwłaszcza, że wiele innych zakładów, których przecież wymienione wyżej trudności także nie ominęły wykonały w pełni lub przekroczyły swoje zadania. Należą do nich ZPE „Lodex", ZPW im. Struga, ZPW „Fresco", WFN „Ariadna", ZPDz. „Delta", FZR „Fonica", FŻ „Polam", ZPO „Wólczanka".

Godny podkreślenia jest również fakt, że wzrostowi ilościowemu produkcji towarzyszy poprawa jakości. Obecnie ok. 20 proc. wyrobów oznaczane jest najwyższym znakiem jakości, znakiem „Q" i „i". Z tego tytułu maleje ilość reklamacji i kar umownych zgłaszanych przez odbiorców krajowych i zagranicznych. W odczuciu społecznym, wobec stałego wzrostu potrzeb i wymagań, postęp w tym zakresie powinien być większy. Również handlowcy naszego województwa uznali za produkcję „nietrafioną" wyroby przemysłu lekkiego o wartości około 80 mln zł.

Zadania eksportowe zaawansowane są w 45 proc., o kilka punktów niżej niż w analogicznym okresie ub. roku. Na ten stan zasadniczy wpływ miało zmniejszenie dostaw z przemysłu maszynowego o 16,7 proc., z chemii — o 3,9 proc., a także z kilku zakładów — eksporterów z przemysłu lekkiego. W tym przypadku niewątpliwie zadziałały niekorzystne czynniki obiektywne: recesja gospodarcza w krajach kapitalistycznych i utrudnienia w handlu z tym obszarem.

Zadania w zakresie handlu i usług zostały zrealizowane. Sprzedaż towarów osiągnęła wartość ok. 19,5 mld zł (wzrost o 1,8 mld zł). Usługi wzrosły o 14,6 proc., osiągając wartość ponad 900 mln zł. Powiększyła się baza tak ważnego ze względów społecznych działu gospodarki. Przybyło dalszych 17 obiektów handlowych i gastronomicznych, 15 lokali usługowych, dokonano modernizacji 30 placówek. Oczywiście to postęp na miarę możliwości, a nie potrzeb, niezadowalający nadal zwłaszcza w nowych dzielnicach mieszkaniowych.

W I półroczu budowlani przekazali ponad 13 tys. izb, o łącznej powierzchni użytkowej blisko 200 tys. m kw. Jest to niemało, mimo iż do wykonania planów półrocza zabrakło 5,8 proc. Jest to konsekwencja trudności, jakie wystąpiły w realizacji zadań 1977 r., które spowodowały, że stan robót surowych na starcie do bieżącego roku był bardzo niski. Korzystne rezultaty osiągnęli budowlani w zakresie budownictwa towarzyszącego, z czym w przeszłości zawsze były kłopoty. Przekazano do eksploatacji 15 tys. m kw, co stanowi 53,3 proc. zadań rocznych. Sprawą nadal aktualną jest jakość robót budowlanych.

Bilans półrocza przedstawiony w referacie Egzekutywy KŁ, uzupełniony konkretnymi przykładami podczas dyskusji, w sposób oczywisty stał się rachunkiem osiągnięć, a także uwypuklił istniejące braki i trudności. Trudności, z którymi można i trzeba sobie radzić.

Najważniejszą sprawą jest wzrost wydajności pracy i racjonalizacja zatrudnienia. Niepokoi rosnąca absencja chorobowa i fluktuacja kadr, dochodząc w niektórych zakładach do 50 proc. Problemom tym, jak informowali dyskutanci, słusznie poświęca się wiele uwagi podczas odbywających się aktualnie konferencji samorządu robotniczego. Podawano również szereg przykładów jak właściwa organizacja pracy, elastyczność zarządzania, innowacje techniczne, racjonalizacja, wynalazczość pracownicza — pozwalają skutecznie przeciwdziałać występującym trudnościom.

Zabierając głos w czasie obrad tow. Jerzy Łukaszewicz podkreślił, że Komitet Centralny partii przywiązuje dużą wagę do ocen I półrocza, gdyż wyniki 1978 roku zadecydują o wykonaniu zadań pięciolatki. Omawiając stan realizacji planu 5-letniego sekretarz KC PZPR podkreślił pozytywny wkład województwa łódzkiego w dorobek kraju.

Podsumowując obrady Plenum tow. Bolesław Koperski wyraził uznanie dla dobrze pracujących załóg naszego województwa. Wskazał jednocześnie na niedociągnięcia i zaległości, które powinny być przezwyciężone, aby uzyskać pozytywne rezultaty ekonomiczne 1978 roku. „Myślą przewodnią każdego z nas — powiedział I sekretarz KŁ — powinien być taki sposób pracy i działania, aby kończąc jeden okres dobrymi wynikami, uzyskiwać w następnym okresie jeszcze lepsze".

(J.W.)

WARSZAWA NIEZWYCIĘŻONA

Tak śpiewali: „Nie grają nam surmy bojowe — ni werble do szturmu nie warczą — nam przecież te noce sierpniowe — i prężne ramiona wystarczą..."

I czasem musiały wystarczyć ramiona, gdy broni nie stało, gdy z powstańczej radiostacji rozlegały się słowa wiersza powstańca — poety: „Żądamy amunicji".

Pierwszego sierpnia rozpoczęły się w Warszawie te 63 dramatyczne dni — ponad miesiąc heroizmu, grozy, udręki i uporu. Powstanie rozpoczęto siłami około 23 tysięcy żołnierzy podziemia, z których zaledwie 2 tysiące było uzbrojonych i wyposażonych w amunicję na trzy dni walki... „Nam przecież te noce sierpniowe i prężne ramiona wystarczą..."

Wystarczyły na dwa miesiące.

Obok oddziałów Armii Krajowej w walkach wzięły udział oddziały AL, PAL, ponadto siły powstańcze były stale uzupełniane ochotnikami, a w organizowaniu zaplecza uczestniczyły dziesiątki tysięcy warszawiaków.

W dniu wybuchu powstania garnizon niemiecki w Warszawie liczył około 15 tysięcy żołnierzy; od 4 sierpnia zaczęły przybywać do miasta, na rozkaz Himmlera, jednostki SS i policji, z których sformowano specjalny korpus liczący około 25 tysięcy ludzi. Ponadto do zwalczania powstania wydzielono niektóre oddziały 9 Armii — łącznie siły niemieckie liczyły ponad 50 tysięcy żołnierzy, wspartych bronią pancerną, artylerią i lotnictwem.

Zaczęła się rozpaczliwa obrona — już czwartego dnia powstania Komenda Główna AK wydała rozkaz przerwania akcji zaczepnych. Następnego dnia Niemcy rozpoczęli masakrę. W ciągu dwu dni, na Woli, wymordowano 40 tysięcy osób — dzień wcześniej, na Ochocie, zamordowano tysiące bezbronnych mieszkańców.

Po zlikwidowaniu powstania na Woli i Ochocie rozpoczęto natarcie na Starówkę i Śródmieście. Walczono o każdy dom. Na Starówce 26 sierpnia zginął cały sztab Warszawskiego Okręgu AL, którego oddziały brały udział w obronie Starego Miasta.

Potem zaczęła się gehenna kanałów — ewakuacja do Śródmieścia, która nie objęła ponad 50 tysięcy ludności cywilnej i ciężko rannych żołnierzy. Niemcy wymordowali rannych.

Powstanie upadło mimo bohaterskiej postawy powstańców i ludności cywilnej. W okresie 63 dni walk poległo około 18 tysięcy powstańców, około 25 tysięcy zostało rannych. Straty ludności cywilnej były dziesięciokrotnie wyższe, zamordowano w czasie powstania 180 tysięcy bezbronnych mieszkańców Warszawy.

Leszek Prorok pisze w **„Notatniku powstańczym"** pod datą 29 września: **„Wczoraj skapitulował Żoliborz. Nasi byli ostatnio stłoczeni już tylko między Placem Inwalidów a Placem Wilsona. Płk „Żywiciel", ranny, dowodził operacjami z noszy. Ze wszystkich stron formacje SS-Viking przygotowane do szturmu. Nasi walczyli dzielnie do ostatka. W czasie minionych dwóch dni zniszczyli trzydzieści czołgów. Teraz pozostało już jedynie nasze Śródmieście. Bój dobiega końca..."**

I dalej, pod datą 1 października: **„O godzinie 5 rano wydano rozkaz zaprzestania ognia (...) Utarły się powiedzonka pełne goryczy: „Nie było nas, był las — nie będzie nas — będzie Bór". Warszawiak wstępuje na szafot kpinkując. Śmiejemy się przez łzy".**

Bór-Komorowski ogłasza ostatni rozkaz: **„Po wypełnieniu waszego żołnierskiego zadania do końca, pokonani nie przez nieprzyjaciela, lecz przez niedostatek i głód, musimy przerwać walkę..."**

Pisał **Krzysztof Kamil Baczyński** — poeta, który zginął czwartego dnia powstania:

„Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,
gdyś jej ścieżki wycinał żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydliwsze z ludzkich dróg.

I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut — zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło".

Lesław M. Bartelski napisze po latach: „Warszawa przypominała z daleka złom skalny — szczątki granitowej góry rozbitej kataklizmem i przemienionej nagle w kamienną pustynię. Tysiące ludzi przechodziło w milczeniu wypalonymi, martwymi ulicami, których jezdnie nie wszędzie były uprzątnięte z gruzu i na wpół zbutwiałych szkieletów ludzkich. Spalone czołgi, fantastycznie powyginane żelastwo samochodów ciężarowych, nie w pełni strawionych przez ogień, jakieś rozbite wozy tkwiły pośród tego upiornego pejzażu niczym akcenty minionej walki (...) W pożarze wojny zginęło drogie nam wszystkim miasto. Wraz z jego zniszczeniem odeszło wiele z przeszłości — stara Warszawa o krętych, brudnych uliczkach zapamiętana z sentymentem młodości rozpadła się w nicość. Kilometry spalonych ulic, zniszczone dzielnice ze Starówką na czele, gruz wypełniający jezdnie aż po wysokość pierwszego piętra, puste oczodoły osmalonych kamienic —oto, co zostało ze stolicy Polski. Można było ją zetrzeć całkowicie w ogniu 63 dni i nocy zażartych walk, można było likwidować dzielnicę po dzielnicy, wysiedlając ludność i skazując ją na tułaczkę, ale jednego nie udało się Bachowi i jego hitlerowskim oprawcom — nie potrafili złamać ducha obrońców Warszawy.

Powstanie przeszło do historii nie jako akt małoduszności przywódców podziemia londyńskiego, lecz przede wszystkim jako wspaniały, nie mający sobie równego bohaterski zryw żołnierzy, a na równi z nimi i społeczeństwa Warszawy, pragnących wolności i za tę wolność poświęcających dobro najwyższe. Chociaż pod gruzami straszliwie strzaskanego miasta zginęło 200 tysięcy jego mieszkańców, któż zresztą wie, ile naprawdę? — chociaż spłonęły zabytki i dorobek wielowiekowej kultury, Warszawa w istocie pozostała niezwyciężona".

Więc jeszcze te słowa poety:

„Kochaj pocisk z niedobrego kruszcu,
gdy nad włosem ci leci prosty;
niejednego on przecież nauczył
miłości
I człowieka, w którego godzisz
mrużąc oko pod blask broni siny,
on nauczył boleśnie twą młodość
ojczyzny"

Z tej hekatomby męczeństwa i heroizmu Warszawa wyszła — mimo wszystko — zwycięska. I to pokolenie, któremu Historia wyznaczyła tragiczny los, zostanie w naszej pamięci. Na chwałę tego pokolenia wznosi dziś miecz zwycięska Nike na Placu Teatralnym.

JERZY WILMAŃSKI

Listy do Redakcji

„MOTORYZACYJNY KONTREDANS"

W odpowiedzi na artykuł redaktora Eugeniusza Iwanickiego pt. „Motoryzacyjny kontredans" zamieszczonym na łamach „Odgłosów" nr 16 z 16. IV. 1978 r. niniejszym wyjaśniamy problemy poruszane w tym artykule.

System wydawania przepustek upoważniających do wejścia na teren przedsiębiorstwa przy ul. Brukowej 16, podyktowany został koniecznością właściwego zabezpieczenia mienia jak również zapewnienia osobistego bezpieczeństwa klientów. Na omawianym terenie znajdują się bowiem magazyny części zamiennych, pojazdy jednośladowe przygotowane do wydania na poszczególne punkty sprzedaży detalicznej, odbywa się ciągły ruch samochodów dostawczych i osobowych. Ponadto znajduje się niestrzeżone wejście na Autoryzowaną Stację Obsługi wykonującą obsługę przedsprzedażną samochodów.

Przebywanie zbyt dużej ilości osób na opisanym wyżej terenie stwarzałoby poważne niebezpieczeństwo dla klientów. Należy nadmienić, że bardzo często klienci zaproszeni po odbiór samochodów zgłaszają się z całymi rodzinami, co również powodowało niepotrzebny tłok w bardzo szczupłych pomieszczeniach punktu sprzedaży. Aby uniknąć tego typu sytuacji wprowadzono czasowo system przepustkowy, który ogranicza ilość osób tj. osoby posiadającej zaproszenie 1—2 osób towarzyszących.

Zjawisko ustawiania się kolejki przed punktem sprzedaży od wczesnych godzin rannych, zupełnie nie znajduje uzasadnienia w dalszym załatwianiu formalności. Punkt sprzedaży samochodów wysyła zaproszenia po odbiór samochodów z określeniem godziny w takiej ilości, w jakiej przygotowane są samochody; nie może być przypadku aby zaproszony klient nie otrzymał samochodu w wyznaczonym dniu, jeżeli sam nie zechce przełożyć terminu odbioru.

Jednocześnie nadmieniamy, że przepustki wydawane są do godz. 13.00 i kilkugodzinne wyczekiwanie w godzinach rannych na przepustkę jest naprawdę niepotrzebną stratą czasu.

W ostatnim okresie zmieniono zasadniczo personel bezpośredniej obsługi klienta w magazynie sprzedaży, co jak dotychczas bardzo pozytywnie wpłynęło na usprawnienie sprzedaży i właściwe załatwianie nabywców pojazdów np. w dniach 12—13 bm. sprzedano po 80 samochodów m-ki „Fiat 126 p" — dziennie.

Kolory oferowanych do sprzedaży samochodów ściśle uzależnione są od dostaw. Notujemy częste przypadki całych transportów przysłanych samochodów w jednym lub dwu kolorach i takie z konieczności oferujemy klientom.

Celem poprawy warunków i kultury obsługi klientów nabywających samochody, uruchomiony zostanie od sierpnia br. nowy salon sprzedaży samochodów przy ul. Brukowej 16. Zniknie wówczas problem przepustek upoważniających do wejścia na teren Polmozbytu, gdyż wejście do salonu znajdować się będzie bezpośrednio z ulicy Brukowej. Mamy nadzieję również, że przy właściwej pracy naszego personelu przyszli nabywcy samochodów zrozumieją, że każdy klient musi zostać w naszym przedsiębiorstwie potraktowany i obsłużony jednakowo sprawnie i uprzejmie bez względu na to czy będzie w kolejce pierwszy czy ostatni. Pozwoli to na rozładowanie porannych kolejek przed Polmozbytem, co oszczędzi klientom czasu a Przedsiębiorstwu umożliwi bardziej sprawne ich załatwienie.

Odnośnie sprawy pobrania przez kierowcę Pogotowia Technicznego kwoty większej (o 20 zł) niż przewidywał taryfikator, wyjaśniamy, że nadpłacona suma została zwrócona klientowi przekazem pocztowym, a kierowca, który w niewłaściwy sposób obliczył należność, otrzymał ustne upomnienie. Tego rodzaju sytuacje zdarzają się niezwykle rzadko. Jednocześnie informujemy, że wszystkie rachunki dotyczące spraw spornych, pozostają w aktach Polmozbytu, jednakże na prośbę klientów zostają oryginały rachunków wydane po uprzednim wykonaniu ich kserokopii.

Wyjątkowo długi przebieg sprawy poruszanej w artykule a dotyczącej przyczepy samochodowej spowodowany był następującymi przyczynami.

ASO PP „Polmozbyt" uprawnione są jedynie do napraw gwarancyjnych układu jezdnego przyczep samochodowych. Wszelkie inne usterki zgłaszane przez klienta, zgodnie z warunkami gwarancyjnymi powinny być kierowane bezpośrednio do producenta. Z uwagi na przedłużający się okres załatwienia sprawy z producentem dyrekcja P.P. „Polmozbyt" podjęła decyzję wymiany reklamowanej przyczepy na nową wolną od wad, biorąc na siebie ryzyko ewentualnego nieuznania reklamacji przez producenta. Nadmieniamy, że 30. VI. 1978 r. zostało wysłane do użytkownika rozliczenie finansowe, upoważniające do odbioru nowej przyczepy a zarazem kończące całkowicie reklamację.

Dyrekcja PP „Polmozbyt" wyraża podziękowania redakcji „Odgłosów" za zainteresowanie się problemami pracy „POLMOZBYTU". Jesteśmy przekonani, że krytyczne opinie pokazywania przypadków nieuczciwości i niesumienności naszych pracowników pomoże nam skuteczniej eliminować występujące negatywne zjawisko. Nie mogą one jednak przesłonić dorobku i wysiłku ogromnej większości załogi pracującej z dużym zaangażowaniem na rzecz rozwoju motoryzacji w Polsce.

z-ca dyrektora
mgr inż. JANUSZ GAWROŃSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

Foto: Archiwum

SPRAWY BLISKIE I TRUDNE

Dalszy ciąg ze str. 1

1.

W 1954 r. do Zarządu Łódzkiego ZMP wpłynęło, za pośrednictwem Zarządu Głównego, pismo z polecenia I sekretarza KC PZPR, prezesa Rady Ministrów — **Bolesława Bieruta** o zbadanie sprawy młodego mieszkańca Łodzi, Mariana W. Na załączonym do pisma przewodniego liście widniała osobista adnotacja i podpis Bolesława Bieruta:

„Proszę przekazać sprawę Zarządowi Łódzkiemu ZMP do szczegółowego wyjaśnienia i podjęcia odpowiednich decyzji oraz zobowiązać do poinformowania mnie o wynikach. Jeżeli istotnie temu młodemu człowiekowi wyrządzono niesłuszną krzywdę, należy to niezwłocznie naprawić".

Na czym polegała sprawa tego niedawno jeszcze ucznia jednego z łódzkich techników, przebywającego w karnym zakładzie górniczym, o której pozwolono mu — uwzględniając wzorowe sprawowanie i pracę — napisać do ówczesnego szefa partii i rządu? Sprawa, którą poruszył w swym liście polegała na tym, że otrzymał on niewspółmiernie wysoką sankcję za problematyczne przewinienie polityczne i przypisane do tego niesłusznie — czyny w ogóle nie popełnione. Potwierdziło to w pełni i całkowicie ponownie podjęte, szczegółowe postępowanie wyjaśniające i zaproponowana przez nas w jego wyniku — rewizja wyroku. Natychmiast po niej Marian W. został zwolniony, oczyszczony z krzywdzących zarzutów i powrócił do normalnego życia. Nim jednak do tego doszło, musieliśmy przełamać wiele olbrzymich przeszkód i trudności, przebadać dziesiątki dokumentów i naprawić nadszarpniętą opinię. Była to jedna z najtrudniejszych spraw tego roku. Prowadziliśmy ją współdziałając nie tylko z władzami Łodzi, ale również Katowic i Wrocławia — taka bowiem zachodziła konieczność i takie miała związki zależności oraz możliwości stosownych decyzji.

Prowadziliśmy ją w przekonaniu, że to co napisał młody autor listu do kierownika naszego państwa, jest prawdą. Nie było ono odosobnione Do dziś pamiętam stroskane oblicze jednego z prokuratorów wojskowych. komunisty, który powiedział mi w rozmowie. iż jego doświadczenie i zawodowa intuicja podpowiadały mu od początku, że jest to tragiczne nieporozumienie. Niewiele jednak mógł zdziałać sam, ale mając w nas sojuszników, okazał prawdziwy obiektywizm i uczciwość, a także — przyznać to muszę dziś, niemałą odwagę.

Z **Bolesławem Bierutem** korespondowaliśmy w tej sprawie dwukrotnie; raz, przepraszając za to, iż z uwagi na stopień trudności nie jesteśmy w stanie dotrzymać wymaganego terminu wyczerpującej odpowiedzi i ponownie — informując o pozytywnym wyniku naszych starań. Otrzymaliśmy jego osobiste podziękowanie, a także prośbę, aby interesować się nadal Marianem W., pomagać mu w życiu i otoczyć opieką przez organizację ZMP. Postulat ten wypełniliśmy solidnie, z pełną odpowiedzialnością. Potwierdziła to praktyka ostatnich 23 lat. Tyle bowiem czasu upłynęło od pomyślnego załatwienia jednego listu, a moje związki z Marianem W. są nadal trwałe i bliskie i z czasem przerodziły się w bardzo serdeczne.

I dziś kiedy z perspektywy czasu myślę o tamtej sprawie, to uważam, że po prostu dobrze spełnialiśmy swą ludzką i społeczną powinność, i że nasze zaangażowanie było słuszne. On sam udowodnił to najlepiej. Jest dziś bowiem Marian W. doskonałym fachowcem, szanowanym kierownikiem jednego z łódzkich zakładów, przykładnym ojcem rodziny. Jeszcze niedawno był także wzorowym sportowcem. Jego upór, samozaparcie i bezinteresowność, godną wzoru i naśladowania przez wielu dzisiejszych sportowców postawę, opisywała swego czasu ogólnopolska prasa sportowa, informowały też o uzyskanych przez niego osiągnięciach sportowych łódzkie gazety codzienne. Z usług jego pracy korzysta na co dzień wielu szanowanych w Łodzi ludzi, ale tylko nieliczni wiedzą, jaki dramat ma poza sobą ten uczciwy, nieprzeciętnie pracowity człowiek, serdecznie życzliwy zwłaszcza ludziom skromnym i prostym, jak on sam.

2.

Z historii tego okresu wyłania mi się również obraz zmęczonej i wymizerowanej, młodej cerowaczki z Zakładów Przemysłu Wełnianego im. Niedzielskiego, Stanisławy N., która w towarzystwie przewodniczącej swojego koła ZMP, a może właśnie za jej poradą, przyszła pewnego późnego popołudnia do Zarządu Łódzkiego ZMP ze sprawą, która choć nie tak skomplikowana jak poprzednia, okazała się także nieprosta w skutecznym załatwieniu.

Ta 19-letnia dziewczyna, mimo swego młodego wieku, miała już wówczas bardzo wiele ciężkich przeżyć za sobą. Po śmierci matki, a także tragicznej śmierci swego brata, ojciec ożenił się po raz drugi. Sparaliżowany i nerwowo chory, był na utrzymaniu żony. Atmosfera i warunki w domu (sprawdziły to koleżanki z jej koła ZMP) były tak straszne, że Stanisława N. opuściła dom i zamieszkała u obcych ludzi, płacąc za to jedną czwartą swej miesięcznej pensji. Kiedy pewnego dnia wróciła z pracy, wyrzucono ją z mieszkania. Była w piątym miesiącu ciąży. Przez kilkanaście nocy spała na dworcu, potem u koleżanek z pracy.

Przewodniczący Zarządu Zakładowego ZMP, monitowany przez wydziałowe koło, do którego należała Stanisława N., zwrócił się w tej sprawie do Rady Zakładowej. Jej przewodniczący próbował udzielić pomocy młodej pracownicy przez umieszczenie jej w domu młodego robotnika lub hotelu robotniczym. W żadnym, do których się zwracał, nie znalazł wolnego miejsca. Nie uzyskał też żadnej pomocy ze strony Centralnego Zarządu Przemysłu Wełnianego, gdzie się również zwrócił. Na interwencję Zarządu Łódzkiego ZMP, Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi zobowiązał się umieścić Stanisławę N. w Domu Matki i Dziecka. Jednakże wolne miejsce możliwe było do uzyskania dopiero od czerwca, a do tego czasu pozostawał jeszcze miesiąc.

Tymczasem wolnymi miejscami w domach młodego robotnika dysponował Centralny Zarząd Przemysłu Bawełnianego — Północ. Podjęliśmy więc próbę ulokowania zainteresowanej na ten okres w jednym z nich. Jednakże ta pozornie prosta sprawa napotkała na potężną przeszkodę w postaci formalnej, posuniętej do scholastycznej skrajności interpretacji uchwały nr 652 Prezydium Rządu z 15.09. 1951 r., w myśl której o zakwaterowaniu w DMR pracownika nie będącego absolwentem szkoły przysposobienia przemysłowego, może zadecydować tylko „właściwy minister".

— To się dobrze składa — powiedziałem do naczelnika wydziału zatrudnienia CZPB — bo właśnie dziś po południu wiceprezes Rady Ministrów, minister przemysłu lekkiego — Eugeniusz Stawiński ma spotkanie z załogą WZPB „1 Maja", na które mam zaproszenie. Będzie okazja do porozmawiania.

Eugeniusz Stawiński okazał pełne zrozumienie sprawy i obecnemu przy rozmowie dyrektorowi administracyjnemu Centralnego Zarządu Przemysłu Bawełnianego wydał polecenie natychmiastowego jej załatwienia. Ale, jak to się w życiu nieraz zdarza, wicepremier powrócił do Warszawy, a cerowaczka i jej problemy — pozostały w Łodzi. Znaleziono nowe trudności w postaci zatrudnienia Stanisławy N. w innej branży.

Dalszy ciąg tej sprawy relacjonował **„Głos Robotniczy"** w numerze z 12 maja 1956 r.:

„...Nazajutrz zaalarmowany przez Sekretarza Prezydium ZŁ ZMP, tow. Kazimierza Russka, kierownik Wydziału Ekonomicznego KŁ PZPR, tow. Zdzisław Krasławski, interweniował w sprawie Stasi w Centralnym Zarządzie Przemysłu Wełnianego, któremu podlegają Zakłady im. Niedzielskiego. Tym razem załatwiono szybko. W hotelu robotniczym Zakładów im. Reymonta na Łąkowej znalazło się miejsce dla bezdomnej...".

I dalej:

„...Wydawałoby się, że sprawa została załatwiona. Stasia N. nie będzie musiała spać na dworcu. Ale czy nie oburza fakt nieludzkiego, bezdusznego stosunku do człowieka, wielu odpowiedzialnych towarzyszy w Zakładach im. Niedzielskiego i tych wszystkich, którzy wzbraniali się przed załatwieniem sprawy.

Czy wreszcie to, że trzeba było interwencji wicepremiera, Komitetu Łódzkiego PZPR i Zarządu Łódzkiego ZMP — nie jest oburzające i groteskowe zarazem...?".

Nie wiem, gdzie przebywa i co robi dziś Stanisława N. jeżeli jednak nadarzy się okazja, że przeczyta te autentyczne wspomnienia z historii swojego życia — niech przyjmie ode mnie najlepsze pozdrowienia.

3.

Podobnych spraw można przytaczać wiele. Do wszystkich odnosiliśmy się z pełną odpowiedzialnością, upartą konsekwencją. Każda z nich posiadała swoją indywidualność, za każdą kryły się sprawy konkretnych ludzi. Nie zapomnę postaci Tadeusza K., młodego urzędnika, entuzjasty i uczestnika zaciągu pionierskiego do PGR, który po kilku miesiącach pracy trafił do sanatorium w Tuszynku, a po ukończeniu długiego leczenia bezskutecznie kołatał do łódzkiego kwaterunku o odzyskanie pokoiku, który zdał przed wyjazdem i dopiero interwencja Zarządu Łódzkiego ZMP na najwyższym szczeblu miasta umożliwiła mu ponowne zamieszkanie, podjęcie pracy i udzielenie niezbędnej pomocy materialnej. Nie jego przecież wina było, iż ta piękna w swym założeniu inicjatywa udzielenia przez młodzież pomocy w poprawie gospodarności i wyników państwowych gospodarstw rolnych naszych ziem zachodnich, była absolutnie nie przygotowana przez administrację gospodarczą pod względem warunków pracy, socjalnych i zdrowotnych.

Rezultaty takiego działania powodowały określone skutki. Liczba spraw napływających do Zarządu Łódzkiego ZMP (bezpośrednio, a także za pośrednictwem instancji partyjnych, Zarządu Głównego ZMP, prasy) — ulegała systematycznemu wzrostowi, mimo iż próbowaliśmy wytworzyć klimat, aby rozkładały się one możliwie równomiernie na zarządy dzielnicowe, zakładowe, a także koła ZMP. Zmuszało nas to do doskonalenia organizacji i metod pracy oraz rozszerzania aktywu. Z tą myślą w 1955 r. utworzyliśmy przy Zarządzie Łódzkim ZMP pierwszy w kraju, **Młodzieżowy Zespół Radnych.** Skupiał on członków organizacji — radnych Rady Narodowej m. Łodzi i dzielnicowych rad narodowych i stanowił wydatną, realną pomoc w pracy łódzkiej instancji ZMP w załatwianiu spraw i bolączek młodzieży, a także i dorosłych. Przychodzili bowiem ze swoimi, a nierzadko i bardziej ogólnymi sprawami do Zarządu Łódzkiego ZMP i Młodzieżowego Zespołu Radnych coraz częściej ludzie starsi, nie związani z organizacją, w przekonaniu, że i oni liczyć mogą na życzliwość i zrozumienie ludzi z ul. Piotrkowskiej 262.

Wkrótce potem na tle społecznych potrzeb i wzrostu interwencyjnych spraw wykształciła się nowa forma pracy — powstał przy Zarządzie Łódzkim ZMP **Zespół Młodych Prawników.** W pracy Zespołu Młodzieżowych Radnych szczególną aktywność wykazywali radni: **Ryszard Bolski, Marian Dąbrowski, Romuald Rojewski.** W zespole Młodych Prawników wyróżniali się aktywnością społeczną: **Franciszek Lach, Henryk Nowak.** Z doświadczeń w pracy obu tych zespołów społecznych, korzystały inne województwa i ośrodki miejskie.

4.

Atmosfera życzliwości, serdeczności i wzajemnej pomocy towarzyszyła nam nie tylko w pracy na zewnątrz. Była także i nieodłączna dla codziennej pracy wewnętrznej w gronie pracowników Zarządu Łódzkiego ZMP. Kiedy 25 lat temu, 1 sierpnia 1953 r. wprost z poligonu, gdzie po studiach odbywałem ćwiczenia wojskowe w „zielonym garnizonie" podjąłem pracę w Zarządzie Łódzkim ZMP, byłem jednym z nielicznych pracowników „po uniwersytecie". Ale za kilka dni przyszli trzej dalsi, a wkrótce potem grono to poszerzył przybyły z politechniki, świeżo „upieczony" magister inżynier włókiennik — Mirosław Skorus. Za jego to sprawą i z jego inicjatywy zrodziła się myśl, aby zorganizować coś, co pomogłoby również innym pracownikom w uzupełnieniu wykształcenia. Z myśli tej powstała przy Zarządzie Łódzkim swoista szkoła wieczorowa, która podjęła ambitne zadanie przygotowania zainteresowanych pracowników Zarządu Łódzkiego i zarządów dzielnicowych ZMP do eksternistycznych egzaminów maturalnych. Profesorami i wykładowcami tej „szkoły" byli kadrowi pracownicy Zarządu Łódzkiego ZMP — **Wiesław Adamski, Ignacy Gajewski, Stefan Olszowski, Kazimierz Russek, Mirosław Skorus.** Z rezultatów tej nauki skorzystało wielu pracowników. Można chyba śmiało zaryzykować twierdzenie, że był to pierwszy w Łodzi Uniwersytet Robotniczy, co tak chlubnie podjął i rozwinął w dwa lata później — Związek Młodzieży Socjalistycznej.

Praca w Zarządzie Łódzkim ZMP była w zasadzie moją pierwszą pracą zawodową i choć nie należała do łatwych, łączę z nią moje najlepsze wspomnienia.

KAZIMIERZ RUSSEK

NOWA HISTORIA POLSKI

Za jedną z cech charakterystycznych współczesnej marksistowskiej historiografii polskiej uważa się — nie bez powodu — dążenie do opracowywania historycznych syntez. Nie tylko my to dostrzegamy, ale widzą to również obcy, interesujący się rozwojem naszego dziejopisarstwa. Syntezy te poświęcone są bądź to dziejom jakiegoś kraju — w całości lub wycinku chronologicznym — a nawet dziejom powszechnym jakiejś wielkiej epoki, bądź poszczególnym dziedzinom, stronom czy aspektom procesu dziejowego. Doprawdy trudno byłoby wyliczyć wszystkie, bodaj tylko ważniejsze dzieła syntetyczne, jakie ukazały się u nas w ostatnich latach, poświęcone historii rozmaitych krajów — Francji, Anglii, Rosji, Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Holandii, Szwajcarii, Włoch, Bułgarii, Czechosłowacji itd. — czy dziejom poszczególnych epok — starożytności, średniowieczu itp. — nie mówiąc już nawet o syntezach „dziedzinowych", takich jak zarysy dziejów klas i grup społecznych, wojskowości czy prawa, sztuki czy kultury materialnej.

Kiedy po I Kongresie Nauki Polskiej na przełomie 1952 i 1953 roku tworzono Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk spodziewano się, że planowana wówczas pierwsza pełna, oparta o nowe podstawy metodologiczne, wszechstronna synteza naszych dziejów zostanie ukończona w szybkim okresie czasu. Rzeczywistość zaprzeczyła tym nadziejom i mimo wytężonych wysiłków, prace nad kolejnymi tomami PAN-owskiej „Historii Polski" wciąż jeszcze trwają, a do całości dzieła jest wciąż daleko. Synteza PAN-owska nie wyczerpała wszakże wszystkich syntetycznych inicjatyw naszej historiografii, co się tyczy opracowania dziejów Polski. Przed laty zasłużone pochwały zbierał nie ukończony niestety — zabrakło bowiem tomu, poświęconego historii najnowszej — cykl dzieł pióra grona warszawskich historyków (J. Dowiat, A. Wyczański, T. Łepkowski), który złożył się na wielce indywidualną, nowoczesną syntezę dziejów naszego narodu od czasów średniowiecznych po koniec okresu rozbiorowego.

Pamiętamy z jak ogromnym zainteresowaniem przyjęto ukazanie się w 1975 roku ogromnego tomiska „Dziejów Polski", przygotowanego przez grono historyków poznańskich pod redakcją Jerzego Topolskiego. Książka ta, szeroko dyskutowana zarówno na łamach prasy codziennej i periodyków kulturalnych, jak w czasopismach naukowych, stała się prawdziwym bestsellerem, rozrywanym przez licznych zainteresowanych.

W chwili kiedy piszę ten felieton podano do publicznej wiadomości, że z okazji Święta 22 Lipca dzieło to zostało wyróżnione bardzo wysoką nagrodą. Wydawnictwo, które je ogłosiło — Państwowe Wydawnictwo Naukowe — zamierza w najbliższym czasie rzucić na rynek jego nową edycję w wysokim nakładzie.

Inna potężna oficyna wydawnicza — Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie — sposobi do wydania historyczną syntezę, również poświęconą dziejom Polski, której autorami są historycy warszawscy. Dzieło jest już w opracowaniu i pewnie niewiele czasu upłynie, jak dostaniemy je do ręki.

Tymczasem otrzymaliśmy jeszcze inną syntezę: „Historię Polski" napisaną przez historyków krakowskich — Jerzego Wyrozumskiego, Józefa Gierowskiego oraz Józefa Buszkę — profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego — opublikowaną świeżo przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe w Warszawie (1978). Liczące cztery tomy dzieło zostało wydrukowane w całości w Łódzkich Zakładach Graficznych, Zakład nr 1, przy ulicy Rewolucji 1905 r. —

Nowej syntezie historii Polski wypadnie nam poświęcić bardziej szczegółowe obserwacje w innych felietonach, bowiem zasługuje ona na dokładniejsze omówienie i bardziej wyważoną, aniżeli to można uczynić po pobieżnym zapoznaniu się z treścią, ocenę jej wartości. W każdym razie spiesz się, kto może, bowiem być może jeszcze zdążysz Czytelniku dostać to dzieło: wszystkie cztery tomy kosztują 170 złotych, są niewielkiego rozmiaru, a więc z łatwością zmieszczą się na Twej segmentowej półce w typowym mieszkaniu. Tom pierwszy pióra Jerzego Wyrozumskiego jest doprowadzony do tradycyjnej daty 1505 r., dwa następne wyszły spod pióra Józefa Gierowskiego i traktują o okresie od 1505 r. do 1864 r., czwarty napisał Józef Buszko i dotyczy on dziejów Polski poczynając od okresu po powstaniu styczniowym, aż do pierwszych lat Polski Ludowej. W odróżnieniu od „Dziejów Polski" pod redakcją Jerzego Topolskiego, praca historyków krakowskich nie obejmuje najnowszego odcinka dziejów Polski: jest doprowadzona jedynie do zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego w 1948 roku i powstania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Niegdyś panowało u nas przekonanie, że powinno istnieć jedno jedyne opracowanie naszych dziejów, a wszystkie inne winny być co najwyżej jego streszczeniem. Mit o możliwości pełnego ujednolicenia poglądów historiografii, opierającej się o jedne i te same — choć nieraz rozmaicie pojmowane — założenia metodologiczne, został rozwiany przez rzeczywistość. Bardzo wiele z poglądów i ocen, ferowanych bodaj tylko w PAN-owskiej „Historii Polski" jako niewzruszalne, nie wytrzymało próby czasu, powstała potrzeba sformułowania nowych. Poszukiwanie prawdy o dziejach narodu nie jest bowiem jednorazowym aktem, ale stanowi skomplikowany, dialektyczny proces, w którym raz po raz powstaje konieczność zweryfikowania dotychczasowych sądów i zaproponowania w ich miejsce nowych. Dobrze się dzieje, jeżeli różne środowiska historyczne mogą ze sobą konkurować, co się tyczy przygotowywania własnych, ambitnych historycznych syntez.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

SIERADZKI PEJZAŻ HERALDYCZNY

A gdy dzwonią ogonem na mszę
i gdy wszystkie owce czarne
i gdy strachy na lachy
i wilki w owczych skórach
to wtedy nad rzekę na warcie
na jakżeż czujnej warcie
na wzgórku olch ostrokolnych
za kręgiem fos saturnowym
wyrasta
nawsząd otwarta brama z prześwitem
nad nią kur
pod broną blask
a zaś w blaskach
Wielka Księżna Sieradzka
gromnicą kopcącą
przegania spod bramy
wilki w owczych skórach
owce czarne sparszywiałe
nasze manka doskonałe
dranie mniej i bardziej tanie
aż zapieje kur w świtanie
i zamrze pod broną blask

I znów dzwonią ogonem na mszę
i znów wszystkie owce są czarne
i nieradne lachy na strachy...

Chodzi kur po herbowej desce
Powiedzieć wam jeszcze?

GRODZISKO SIERADZKIE

A za rzeką na warcie
którą musiano przejść
by być czym pragnie pieśń
stoi ostrokół drzew
za nim kamień na kamieniu
nie stojący
z próchna próchen gadający:
Myśmy wasze fundamenty
przyporny kamień węgielny
łokietkowe zasłońce
kaźmierskie elektory
nad sejmem łukowe zbory
machikuły od turskiego
draba półksiężycowego
a choć czujne wartowanie
a i krzepkie murowanie
rozbiórca rozebrał mur
i czerwony zdziobał kur
Drzew ostrokół na wzniesieniu
na nim kamień na kamieniu
nie leżący
z próchna próchen gadający:
Wznoście krzepsze murowania
nie prześlepcie wartowania
by nie zbaraniał znów los czarny
tę i tamtą rzekę przejść
byście byli czym chce pieśń
choć znów biją w tarabany

NA MALOWANIE STANISŁAWA KORPY

Niebo z akwamaryny, nie z łaciatej bieli,
Na nim procesjonalnie wieje sztandar zorzy.
Na jeźdźców z bzu bukietem mknących na wesele
Korpa po tutejszemu modre portki włożył.

Babie szorce — krzyżówki z malw z pstrokatą zebrą.
Na koniach malowanych lśnią ugryjskie rzędy.
Gospodarz im do kopyt chlusnął lane srebro.
Z boku ogród gwiazdziarski — w zodiaki z lawendy.

Taką wioskę w oleju Korpa nam ukaże
I żebyśmy Sieradzkie znali najdokładniej,
Prosto w ramy obrazu wiódł nas refektarzem...
Ale pomylił drogę i zawiódł — w Arkadię.
1978

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

ANDRZEJOWI CHCĄCEMU STUDIOWAĆ HISTORIĘ...

Achilles wiecznie będzie gonił żółwia,
Wpółnieruchoma strzała jego piętę —
Do brzegów morza, nad falami morza,
W umysły nasze jak łuki napięte

Achilles w biegu zgubił sztuczną szczękę,
Bełt strzały zgnije, zardzewieje grot —
Gdzieś w łańcuchami biczowane morze
Umysłom naszym rzucono przynętę.

A niech nam rzucą — nawet i co krok —
Ślad obcej myśli i ślad obcej dłoni,
To nic, że dzisiaj osłania je mrok,
My już depczemy — i po nich — i po nim.
Przyjdzie bo kiedyś litościwa fala,
Pozmywa tropy — te z bliska
i z dala

Łódź, 10.VI.1978

ZBIGNIEW ADAMSKI

DZIEŃ bez TEŚCIA

Lament kobiet jest gorszy niż nalot. Nie wiesz, kiedy łzy im się sypną ciurkiem, kiedy ręce opuszczą, kiedy popadną w histeryczny śmiech. A najgorsze jest chyba to, że w chwili krytycznej, jak ta, nie potrafią projektować jutra, co tak doskonale udaje im się w dni porządkiem rzeczy idące. I najdziwniejsze, że całe ich roztrzęsione jestestwo sprowadza się do jednego, skierowanego w tył — „gdyby!". Było więc: „gdyby worków nie dźwigał, gdyby na dziewczyny nie chodził, gdyby wódki nie pił, gdyby się oszczędzał, gdyby..."

Nad rzekę wylazł księżyc ostry niemożliwie, że tylko patrzeć jak wikliny ciąć zacznie. Patrzyłem na fosforyzującą grzywę wody, gdzie zderzał się wartki nurt głównego koryta ze spokojną odnogą napędzającą młyn. Na tle białej łachy piachu, przygięta prądem, kołysała się bambusowa węda. Cóż w końcu października złowić można na rosówę choćby jak bat woźnicy giętką — szczególnie ja, kulturowiec wykrawacony. Ciężar uwiesiłem na żyłce duży, haczyk miarowy i pod korzeń to wbiłem mocny, wypróbowany od roku. Z tym, że z niewiarą jakąś, bo wszystko odbywało się bez teścia. Pojękiwał w pościeli pod starym, tykającym melodyjnie zegarem. Nie wiem, czy spotkaliście podobnych ludzi jak on, ale jeśli tak, to jest to wielkie szczęście. Dlatego właśnie chciałbym opowiedzieć dzień, który nastąpił zaraz po tej rozgwieżdżonej nocy.

Jeszcze się opar szary wlókł między olszyną, gdy jeden z tych nieprzychylnych nieszczęściu chłopaków, do niedawna naczelnik gminy, dobił się po wertepach nadrzecznych „Zaporożcem" niebieskim i sygnał daje. Mamy jechać z teściem do szpitala, z którego prawie uciekł dzień wcześniej w strachu przed nożem chirurga. Napomykał w szpitalu o tym swoim strachu, ale któż rozmowę z nim miał podjąć. Na pewno nie chirurg uznany bardzo, gdy wielu cierpiących, do niczego, ale do pogawędki skwapliwie skorych, na rzędach łóżek czeka.

Przekonany i przygotowany przez perswazje moje teść koszulę białą i garnitur fest zawdział i wyjść ma z domu za chwilę, a wiem, że wyjdzie cstro, gorączkowo, bo noc całą z łóżka wstawał i o szóstej już pytał — Zbychu! Jesteś?

Przychylny mi kolega z samochodu się uśmiecha i znak kciukiem czyni. Taki gest, „nie martw się, stary, dobrze będzie". Stoimy i czekamy. Ćmimy sporty, rzeka szumi spokojnie, a we mnie oczekiwanie coraz większe na teścia. Pomiędzy zieloną jak na październik trawą jest wydeptana ścieżka. Idzie. Podchodzi do samochodu i jakby trochę zakłopotany mówi do kolegi.

— Wie pan, panie Zenku, pan kłopot sobie robi. Myśli pan, że ja to już muszę pod nóż?

— Panie Zdzisławie — Zenek uśmiecha się, drzwi otwiera — żaden kłopot. Panie Zdzisławie, jedziemy.

Właźę do „Zaporożca", fotel na przód przechyliłem i czekam. Teść jednak jakby czegoś zapomniał, kilka kroków cofnął się w stronę szopy, skąd widok był szerszy i nagle tak na moment, na chwilę drobniutką na rzekę, wikliny i wyspę spojrzał. Może z olszyny kropla mu akurat skapła — pomyślałem patrząc na jego oczy.

Jedziemy. Koła dudnią tęgo na krętej wstążce śródleśnego bruku, a teść mówi.

— Zbychu! Źrebakowi i kobyle owsa trzeba zrzucić z sąsieka. Owce, jakby był spęd, to nie mniej niż po trzy i pół, a od Staśka Zebra dwa metry żyta pożyczyłem. Oddaj, jak wymłócisz, gdyby ze mną coś źle, no wiesz, było. A żeby konia przyzwoicie ubrać, to lejce i postronki trzeba związać mocno na kłębie. Później zarzucisz, podgonie założysz, rozwiążesz, do orczyka postronki na pętlę i po wszystkim. Jeszcze o noszelniku pamiętaj i lejce nigdy po prawej tylko po lewej stronie być powinny, bo wypadek się jeszcze, czego Boże nie daj, może zdarzyć.

Słyszę to wszystko dość odległe i dziwno mi, bo gdy opowiadał, jak na dwa kroki strzelali się z Niemcami w Puszczy Kozienickiej, jak wszy w oboczie jenieckim spod pach wyskrobywali łyżkami, jak Niemki u bauerów prały im koszule, a potem ciągnęły w sąsiek — to wystarczało wyobraźni. Chyba dlatego, że działo się to poza mną. Teraz nie jestem w stanie pogodzić jego skaczących po nadrzecznych kępach, rej wodzących przy stole, śmigających snopami, sześćdziesięciu lat z ukrytym w podtekstach testamentem.

Zanim trzeci papieros do palców dobrał mi się żarem, byliśmy na przedmieściach miasta. Podjeżdżamy pod willę chirurga. Teść boi się, że nie zostanie przyjęty do szpitala, bo lekarz zdenerwował się na niego, że mu nie zaufał, że się na operację nie zgodził.

— Zbychu! — mówi. — Masz tu dwa tysiące złotych. Jemu tak źle z oczu patrzy, ale chciałbym, żeby to on mnie kroił a nie jakiś tam młokos. On przeżył bombardowanie szpitala, niejedno widział, chłop jest na miejscu.

Znałem historię chirurga, wiedziałem, że jest z tych, którym złotówką się nie zaświeci. Wiedziałem o nim wiele, za dużo dobrych rzeczy, aby wejść bez skrępowania. I myślałem jak mu powiedzieć, że teść pierwszy raz w szpitalu, i że kumpla z sąsiedniego łóżka szybko znalazł, i jak w obozie kiedyś szepnęli sobie — wiejemy.

Furtka otwarta. Drzwi otwarte, przy stole kończy śniadanie senior chirurg.

— Mam serdeczną prośbę do pana doktora — mówię. — Tato. To znaczy teść cierpi na przewlekły przerost gruczołu krokowego z rozpoznaniem przedrakowym. Nie zgodził się na operację, był pierwszy raz w szpitalu, bał się noża i wyszedł bez uzgodnienia z panem. Jest bardzo źle. Chciałbym prosić...

— O co?

— O ponowne przyjęcie do szpitala i żeby pan, panie doktorze...

— Proszę zawieźć na izbę przyjęć.

— Ale ja prosiłbym, aby pan doktor sam pokierował...

— Wszyscy lekarze zajmują się pacjentami z taką samą troską. Bez serdecznych próśb.

— Ale pan nie rozumie, że...

— Ja rozumiem.

— Panie doktorze, może pan chciałby zobaczyć pacjenta? — zapytałem kombinując, w jaki sposób uruchomić te cholerne dwa tysiące złotych.

— Jak się nazywa? — Było to bardziej stwierdzeniem niż pytaniem.

— Zdzisław Młynarski — odpowiadam szybko. A tu jest karta informacyjna. — Podaję, patrzy.

— Znam, znam, zawieźć! — chwila kłopotliwej ciszy.

— Dziękuję panie doktorze, a pańskie honorarium... — dobrze, że gest mój był taki jakiś enigmatyczny, jakby sięgnięcie po chusteczkę, jakby ukłon, bo te jego źle patrzące oczy zatrzymały mnie w pół słowa. Do samej izby przyjęć nie mogłem strząsnąć z siebie tego spojrzenia. A jednak są jeszcze ludzie z osobowością dużego formatu — powiedziałem sobie, jakby na usprawiedliwienie sytuacji, w której byłem bezradny.

Teść w pidżamie już odchodzi. Całujemy się.

— Rządź tam — mówi — i nie przyjeżdżajcie za często. Wstyd huk tu robić i uciekaj już, bo pan Zenek czeka.

Jesteśmy znowu nad rzeką. Górą, dwumetrowym nasypem przejeżdżamy obok „moich", oby tylko na kilkanaście dni — pól. Krów jeszcze nie ma pod lasem. Białe kłębki owiec przetaczają się w pierwszym koplu. Koni też nie widzę. I śpieszyć mi się zaczyna jakoś i patrzę wnikliwiej niż na wiersz kolegi, niż na sprawozdanie kwartalne, niż na renesansowy zamek, niż na twarz mojej ślicznej żony — na wylążące pod październikową niską mgłą szabelki żyta. Zenek szeleści paczką sportów.

— Jak to u ciebie będzie? — słyszę troskę w jego głosie. — Musisz tak robić, żeby teściowi nie zapieprzyć. Kartofle, jeśli masz na polu, to ściągaj, bo mrozy idą. Masz chyba parę dni urlopu?

— Zwieźliśmy — mówię.

Na łąkach niewiele już trawy. Trzeba przywieźć buraczanych liści, kupionych przezornie przez teścia. Rozkładam na podwórku uprząż i powolutku rzemyk po rzemyczku, kombinuję, gdzie i jak to zapiąć.

W bramę wjeżdża bordowy fiat. Z gabloty wytacza się okazały impresario warszawskiego kabaretu. Słodka, okrągła mowa. Niech będzie, że wieś spragniona stripteasu. PGR nie chce kupić biletów, choć panowie z rady zakładowej patrzą na dyrektora oczami jak migdały. Podobno zaplanowali sobie w pięciolatce wyjazd do operetki. Klops. Telefonujemy, targujemy, jeździmy z piskiem opon, a koń czeka.

Przywiozłem w końcu liście, wyprzągłem konia. Krowy żrą szeroko, z pośpiechem. Niewiele mają czasu. Tnę ręczną piłą okrąglaki i zastanawiam się, jak teść przez tyle lat dawał sobie radę z drewnem.

— Moje dziecko — mówi zatroskana teściowa. — Do parnika mogą być dłuższe te klocki. Szkoda roboty.

— Rzeczywiście — przyznaję.

Wisi już solidna mgła. Zganiam krowy z łąki. Dzwonią łańcuchy, pachnie mlekiem. Pod dachówką stodoły zagnieździł się odurzający zapach nie najświeższego w tym roku siana.

Moja żona i wszystkie kobiety w tym domu są zmęczone żalem, pracą i lamentem, a przede wszystkim próbami cofnięcia czasu do chwili, kiedy choroby jeszcze nie było w naszej rodzinie. Kiedy teść wspaniale zastąpił przed nimi brak paszy, pustki w sklepie i wszystkie kłopoty, jakie niesie codzienność pola, zwierzaków, gnoju i nagłych przymrozków.

Czeka jednak na stole herbata, ser, masło i cudowny chleb na suchej soślinie pieczony. Wczoraj bym nie śmiał, ale dziś, tak jak on w każdą sobotę, wyciągam z kredensu gorzałkę i nalewam w kieliszki. Kobiety mówią usta i mówią, mówią...

Po szybie zgrzytnął księżyc. W zamyłkach, gdzie wędy stoją, może sum podszedł albo brzana wąsata. O, jakby dzwonko solidne upiec, to by się zawiozło razem z rzeką, z wkliną i z wyspą.

FELIKS RAJCZAK

MINIATURY

POETA W PARAFII

Pisze idąc. Więc nie traci czasu, bo chodzenie w pojęciu ludzi z jego okolicy jest próżnowaniem. Gdy zapytamy — „A za czym chodzi?" — i jeśli odpowiedzą, że w sprawie urzędowej albo innej, lecz nie swojej, czyli nijakiej — to wszystko w porządku. Ale gdy chodzi bez celu, włóczy się od wsi do miasta i z powrotem, po gazetę lub na spotkanie (autorskie z dziewczyną etc.), wtedy jest to niezrozumiałe, potępiają go i dziwią się jego ojcu, że pozwala mu na te wędrówki i jeszcze ze swej kieszeni daje parę groszy. Więc gdy idzie pisząc — to nie pisze piórem, ani nawet palcem w powietrzu: po prostu myśli i układa myśli w porządkujące strofy. Lecz pisanie jego nikogo tu nie obchodzi. I jeśli idzie pisząc i nie traci czasu w swoim rozumieniu — w ich oczach to go nie usprawiedliwia. Utrzymuje się nadal przekonanie, iż jest próżniakiem w roli nie chce pracować, i bawi się w „urzędnika", jak powiadają, bo chodzi z teczką. Nie wiedzą oczywiście, że nosi w niej swoje utwory. Nie wiedzą też, że studiuje. Domyślają się natomiast wielu rzeczy, które są mu obojętne, całkowicie obce, i wmawiają weń pewne poglądy, których nie podziela. Przeważnie tyczy to życia parafialnego. Kiedyś nawet nie tłumacząc się z zarzutów podniecony powiedział: „Nie jestem ateistą". A oni: „A przecie do kościoła nie chodzisz". „Jak to, nie chodzę? — bronił się. — Widzieliście mnie chyba na ostatniej pasterce". „No raz w roku to i diabeł do kościoła wstępuje — odparli. — A kiedy kto cię widział u spowiedzi?" Nie wytrzymał i odburknął coś pobożnego. Rozgoryczony poszedł do domu już miał rozpocząć o tym powieść — gdy zgasło światło. Ogarnęły go złe przeczucia. Ciemności nie trwały długo, bo ojciec zapalił świecę. A więc — do dzieła.

W KLUBIE

Do klubu wszedł chłopiec, niepozorny, w czapce zimowej. Był późny wieczór powiedział dzień dobry.

Kierownik do chłopca: — Zdejm czapkę! Co myślisz, że przyszedłeś do obory?

Chłopiec zdjął czapkę, wypadł z niej kłosek żytniej słomy. Prosi o zeszyt rachunkowy.

Kierownik strofuje go: — Co dopiero teraz chcesz lekcje odrabiać? Gdybym był twoim ojcem, to ja bym ci wykopał w tyłku.

Dziennikarz wtedy wtrącił:

— Przepraszam panie kierowniku. A jak się tu młodzież bawi?

Rzucają papierkami, grają w karty. Raz pili wino. Wziąłem butelkę i rozrzaskałem o płot. Od tej pory przestali przynosić alkohol do klubu.

— A gdzie prasa?

— Kolega zjada.

— Który?

— A ten! — wskazał na piec.

Dziennikarzowi zrobiło się zimno i gorąco, wyszedł z klubu na wiatr i mróz.

NOC LISTOPADOWA

W poniedziałek ojciec idzie na szkolenie rolnicze. Synowie pozostają w domu: jeden śpi, bo ma kaca po niedzielnej zabawie, drugi — czyta zbiór poezji. A do córki przyszła koleżanka, opowiadają wrażenia z wieczorku tanecznego.

Do ojca, wychodzącego, zwraca się syn czytający:

— Tato, a nie weźmiecie ze sobą ołówka i zeszytu. Czy nie robicie notatek z wykładu?

— A na co mi to. Ja jednym uchem słucham, a drugim wypuszczam. Czego oni mnie nauczą... Mnie potrzebny nawóz i gnój. A krowom, jak będę miał co dać, to dam.

Na moment zatrzymuje się w progu.

— No idę. Jest tu gdzie laska albo kawałek kija? Ciemno i psy mnie mogą napaść.

Syn odrywa się od książki, na podwórzu wyszukuje duży patyk i podaje ojcu.

Ojciec wychodzi z zagrody i pogrąża się w noc listopadową.

KRAŃCÓWKA

Kończy się miasto, a tej dali za murami boi się, wrośnięty w chodnik, poeta, poeta kawiarniany.

A tam — za miastem — żyje on, pieśniarz pól i słońca.

Wie o nim. Ma przed nim dziwny lęk, ale pogardza nim, czuje się wyższy o piętro, na którym mieszka.

POLSKIE LICEUM W VILLARD DE LANS

★ ☆ ★

Polskie liceum im. Cypriana Norwida w Villard de Lans było tworem niepowtarzalnym w historii polskiej szkoły. Po czerwcowej klęsce Francji chyba tylko Polacy nie ulegli powszechnej panice, rozpaczy, załamaniu i utracie wszelkiej nadziei. Gdy tylko niezliczone fale uchodźców powróciły do swych domów, a tysiące byłych polskich żołnierzy w masowym exodusie osiągnęły „bezpieczne" bo nieokupowane południe kraju, polskie władze cywilne z PCK na czele postanowiły jak najprędzej zorganizować polską szkołę dla byłych żołnierzy, aby przymusowe interludium wojenne mogło być wykorzystane z pożytkiem przez tych, co zostali pozbawieni możliwości nauki.

Profesor Sorbony i kawaler Legii Honorowej, **Zygmunt Zaleski,** podjął się tego zadania i dzięki swym ogromnym wpływom w najwyższych sferach Francji uzyskał polityczną zgodę na otwarcie szkoły. Pozostało jeszcze znaleźć miejsce względnie bezpieczne i nie rzucające się w oczy, skompletować grono pedagogiczne, wynająć pomieszczenia, pozałatwiać setki spraw administracyjnych i wpłynąć na polskie władze w obozach byłych wojskowych rozsianych po południowej Francji, aby nie czyniły przeszkód w odkomenderowaniu chętnych do nauki.

Profesor Zaleski powierzył te zadania młodemu wykładowcy literatury polskiej na uniwersytecie w Lille, Profesorowi **Wacławowi Godlewskiemu,** mianując go równocześnie wicedyrektorem przyszłego liceum.

Profesor Godlewski zabrał się z zapałem do pracy i już pod koniec sierpnia 1940 roku wynalazł bardzo odpowiednie miejsce, miasteczko **Villard de Lans,** leżące w odległości 32 km od Grenoble, na płaskowyżu Vercors. Otoczone górami, malownicze, w spokojnym pięknie białych, skalistych łańcuchach i czerni świerkowych lasów. Zamieszkałe przez ludzi przyjaznych i (co okazało się podstawowym elementem dalszych dziejów szkoły) zdecydowanych nie ugiąć się przed wrogiem ani faszystowskim rządem starego marszałka.

Wszechobecne na co dzień piękno gór Vercors, powszechna i szczera sympatia otaczająca Polaków, wspólna wola walki i brak kolaborantów uczyniły z małego, alpejskiego miasteczka miejsce, gdzie wykuła się najprawdziwsza przyjaźń dwóch narodowości, scementowana później wspólnie przelaną krwią.

Gdy Akademia Francuska w Grenoble wyraziła merytoryczną zgodę na otwarcie szkoły i przyznała jej równocześnie pełne prawa liceów francuskich, można było przystąpić do jej faktycznego otwarcia. Grono pedagogiczne składało się z kilku profesorów uniwersytetów polskich i francuskich, kilku zawodowych profesorów gimnazjum i liceum w Polsce oraz paru naukowców nie związanych dotąd ze szkolnictwem.

Pierwsi uczniowie przybyli na początku października 1940 roku. Oprócz owej grupki dziewcząt i chłopców w „prawidłowym" wieku szkolnym, niedobitków liceum paryskiego, córek i synów emigrantów lub pracowników dyplomatycznych, 90 procent uczniów stanowili byli wojskowi z polskiej armii we Francji.

Przybywali w mundurach lub cywilnych ubraniach demobilizacyjnych. Przybywali ze wszystkich pól bitew od Narwiku do Lyonu. Zaskoczeni i wstrząśnięci błyskawiczną klęską „niezwyciężonej" Francji, sami jednak nie czuli się zwyciężonymi. Ani przez moment nie wątpili w ostateczny wynik wojny. Ich wiek wahał się od 17 do 35 lat. Przeżycia frontowe wielu z nich nie ustępowały przygodom weteranów Wojny Trzydziestoletniej.

Wielu przybyło do Villard z obozów i prymitywnych baraków znęceni komfortem życia w hotelu. Chcieli tylko „przezimować", wykorzystać okazję do zawiązania konspiracji i na wiosnę (jak niektórzy głęboko wierzyli) powitać aliantów z bronią w ręku. Wielu zaś przyjechało, aby istotnie wykorzystać jedyną szansę ukończenia liceum, ale i oni liczyli na nawiązanie kontaktów zarówno z licznym ośrodkiem polskim w Grenoble, jak też ze znanymi z patriotyzmu mieszkańcami Delfinatu.

Ci właśnie byli wojskowi wytworzyli specyficzną atmosferę nie będąsą ani koszarową, ani młodzieńczym, romantycznym skautyzmem ani szkolarską uległością, lecz zdyscyplinowaną braterską wspólnotą jednoczącą wszystkich w nauce i walce, a jednocześnie pełną młodości, śmiechu i szaleńczych pomysłów, które niejednokrotnie pokrywały poważny, podziemny nurt niebezpiecznej działalności.

Dzięki niezmiernie mądrej polityce grona pedagogicznego, zdającego sobie doskonale sprawę z „gatunku" i charakteru dziwnych uczniów, nawet najbardziej oporni naginali się do wysokich wymagań w nauce i tylko niewielki procent odpadł, nie zdawszy wymaganych egzaminów, decydujących o przyjęciu i pozostaniu w liceum. A gdy już raz ktoś wszedł w tryby bardzo surowych, lecz sprawiedliwych wymagań, temu trudno było, tak ze względu na presję przyjaciół, pracę konspiracyjną, ponawiązywane kontakty, stosunki osobiste i wręcz przyjacielskie z niektórymi członkami grona (również nierzadko zaangażowanymi czynnie w pracę podziemną) zawieść najbliższych i zmarnować dotychczasowe osiągnięcie.

Określenie społeczności liceum im. Cypriana Norwida jako jednej, solidarnie trzymającej się rodziny, może się wydawać nadużyciem wyświechtanego zwrotu, a jednak tego właśnie słowa należy użyć, aby oddać prawdziwą atmosferę i realia tamtejszego życia. Właśnie taka tylko „rodzina" potrafiła przebyć zwycięsko wszystkie wstrząsy, jakie targały szkołą, szczególnie od roku 1942. Począwszy od dominującego głodu, który zwalczała wspólną i r ó w n ą pracą profesorek, profesorów, uczennic i uczniów na dzierżawionej fermie, poprzez stałe nękania i rewizje petainowskiej policji w poszukiwaniu broni, (która stale krążyła po hotelu) i organizacji, o której istnieniu wiedzieli w s z y s c y mieszkańcy du Parc.

Nie załamali się po aresztowaniu profesora Zaleskiego, wywiezionego do Buchenwaldu w roku 1943, ani po zabraniu wicedyrektora Godlewskiego wywiezionego do Mauthausen w roku 1944. Nawiasem mówiąc, profesor Zaleski przeżył Buchenwald dzięki pomocy grupy swych uczniów — Villardczyków, wywiezionych również później do tego obozu. Profesor Godlewski, niestety, nie miał podobnej szansy, lecz przeżył obóz straciwszy zdrowie. Do dnia dzisiejszego przyjeżdża do Polski, aby spotkać się ze swymi wychowankami. Rodzina villardowska nie załamała się również w końcowym apogeum walki i martyrologii, gdy wszyscy mieszkańcy Hotelu du Parc, bez różnicy wieku i płci, poszli wraz z partyzantami francuskimi bronić płaskowyżu przed atakującą, z olbrzymią przewagą liczebną, armią niemiecką, lotnisko desantowe, przygotowane przez ruch oporu na przyjęcie samolotów alianckich. Niestety, zamiast aliantów wylądowały na nim niemieckie oddziały spadochronowe. Tak zaczęła się najkrwawsza bitwa w historii francuskiego ruchu oporu. W czasie walk o Vercors zginęło trzech profesorów i piętnastu uczniów.

Dziś miasteczko Villard de Lans jest pełne polskich pamiątek. Jedna z ulic nazwana została **Ulicą Polskiego Liceum im. Cypriana Norwida.** Na Hotelu du Parc wmurowano pamiątkową tablicę. Na cmentarzu znajduje się pomnik-grobowiec poległych profesorów i uczniów, a w miejscu, gdzie poległo najwięcej Polaków, stoi piękna, kamienna kaplica w stylu zakopiańskim z tablicą zawierającą krótką historię walki „za naszą wolność i waszą".

JÓZEF WĘDRYCHOWSKI

★ ☆ ★

Historia polskich szkół w czasie II wojny światowej ginie, ginie na naszych oczach w oddalającej ją przeszłości. Z rzadka trafiają się publikacje o tych wyjątkowych schroniskach naszych ideałów i nadziei. Nie poświęcono im filmu, serialu telewizyjnego, ani nawet znaczącej monografii. A przecież: tworzone przez te szkoły wartości są obecne i powinny być stale przypominane, jak choćby ta cecha więzi — wspólnictwa łączące nas w kraju i na obczyźnie bez różnicy wieku i przekonań w jedną spojoną wolą walki całość.

Niezwykłość tego zjawiska, gorączkowe przekazywanie wiedzy, przelewanie doświadczeń z pokolenia w pokolenie nie ma odpowiednika. Kiedy o tym myślę, nieodmiennie ogarnia mnie uczucie wdzięczności i niepokoju z powodu nie spłaconego długu.

Gdziekolwiek zebrała się grupa Polaków po drodze do ojczyzny, przystępowała natychmiast do organizacji nauczania, dzielenia się wiedzą jak chlebem powszednim.

Skąd się ta potrzeba zdobywania wiedzy i jej zaspokajania brała?: z lęku przed zatratą? niepewnością jutra? z testamentu poetów — „Wszystko co nasze, Polsce oddamy"? Iloma dramatami inkrustowana jest ta praca, przekazywania nauki, spuścizny pokoleń, ogniw życia, bez względu na grożące niebezpieczeństwo.

Jeszcze trwał exodus na Węgry, a już w październiku podjęto trud nauczania, pomimo ogromnych przeciwności, polskie gimnazjum i liceum, które najpierw w **Balatonzamardi,** a potem w **Balatonboglar** pełniło służbę aż do wyzwolenia Węgier przez Armię Czerwoną.

Niełatwo było je utrzymać; uczniowie-żołnierze, których odkomenderowano do nauki z obozów wojskowych ani myśleli o złożeniu broni, zamianie munduru na cywilne łachy. Do maja 1940 roku masowo uciekali do wojska, do Francji. I chociaż tam działała specjalna komisja wyłapująca młodocianych wojowników, ratowali się kłamstwem, fałszując daty urodzenia, przed ponowną zsyłką do szkoły, do Paryża.

Trzeba było wiele przedsiębiorczości i sprytu, by nie dać się wyrwać z szeregu czynnie przygotowujących się do nowej próby sił towarzyszy broni. Z takich mniej więcej obieżyświatów przebiegłych, pełnych inicjatywy składała się społeczność gimnazjum i liceum im. Cypriana Kamila Norwida. Najpierw z Węgier, z Rumunii, a potem z niemieckiej niewoli przedostawali się do Francji, by w konsekwencji wylądować w Villard de Lans.

O tym, że uczono się w stalagach i oflagach w niewoli niemieckiej, na tajnych kompletach w kraju, wciąż wiemy nieproporcjonalnie mało do dzieła.

Pamiętam, jeszcze nie zdążyłem uleżeć słomy na pryczy w stalagu 17B, kiedy po apelu zatrzymał mnie inżynier, Polak z Francji: „Zauważyłem, że mówisz słabo po francusku. Od dziś będę cię uczył". Co miałem uczynić? A teraz pisząc, wstyd mi, bo nie pamiętam już nawet jego nazwiska. To tylko jedna z pozycji mego nie spłaconego długu. Ale polskie szkoły działały nie tylko we Francji, na Węgrzech, w Rumunii, w Azji, Palestynie, Anglii, Szkocji, ale nawet w obozach koncentracyjnych.

W **Miranda de Ebro,** na przykład, gdzie Hiszpanie przetrzymywali około 700 Polaków od czerwca 1940 roku do kwietnia 1943, czynne były kursy języków obcych i handlu, a także kurs gimnazjalno-licealny zorganizowany przez **Bolesława Wysockiego.** Wykładowcami byli: **Piotr Bielkowicz, Zbigniew Domański, Alfons Jacewicz, Janiurek, Tadeusz Kaszycki, Zygmunt Kiersznowski, Roman Oswald** i inni. Pod koniec roku 1942 przeprowadzono egzaminy zgodnie z przepisami obowiązującymi w Polsce przed wybuchem wojny. Świadectwa małej matury podpisali: komendant wojskowy polskiej grupy, mjr **Jan Sochacki** oraz przedstawiciel Rzeczypospolitej w Madrycie, **Marian Szumlakowski.**

Mnie nie wciągnięto na listę uczniów tylko dlatego, że trafiłem do obozu w czasie trwania egzaminu, a wyjechałem przed podjęciem dalszej nauki przez kursantów.

Kiedy o tym myślę, jak rwałem się do wojska, do wojaczki i jak co krok zatrzymywano mnie i kazano się uczyć, w podziwie myśl zatrzymuję przed moimi bezimiennymi nauczycielami, a także przed tymi, których gościć będziemy w Warszawie na zjeździe byłych uczniów, wychowawców i przedstawicieli władz miejskich Villardu.

Ta szkoła nie tylko nam wryła się w pamięć, ale Francuzom, mieszkańcom miasta — na równi. Byliśmy bowiem nie tylko uczniami, ale także współodpowiedzialnymi za losy konspiracyjnej, czynnej walki z najeźdźcą. Byliśmy animatorami życia sportowego miasta, które udzieliło nam gościny, a które nie zapomniało o naszej w nim obecności. Tak więc wizyta polsko-francuskiej grupy przyjaciół w Warszawie nie jest tylko wycieczką, ale przypomnieniem o łączących nas więzach i chęcią ich dalszego wzmocnienia.

KAROL OBIDNIAK

SPIĘTRZENIE

(Dalszy ciąg ze str. 1)

— Mogą być trudności z zielonkami, ponieważ bardzo późno pójdzie siew poplonów.

Tym bardziej że Centrala Nasienna nie wszędzie może pokryć zapotrzebowanie na takie nasiona, jak np. lucerna i seradela. Trzeba liczyć na międzysąsiedzką wymianę i wykorzystanie pozostających z wiosny nasion łubinu, kukurydzy, mieszanek zbożowych oraz peluszki i wyki.

Nowak z Orchowa ma troje małych dzieci i pracuje na 10 ha wraz z żoną. Hoduje dwie maciory, z których odchowuje 30 świniaków oraz 4 mleczne krowy i 8 sztuk bydła rzeźnego.

— Spiętrzenie? Jasne, przecież ja teraz sprzątam drugi pokos siana! I tak jest wszędzie. To zabrzmi paradoksalnie, ale szczęście, że te żniwa się opóźniły. Roboty od cholery, nie dałbym rady. Zamówiłem w SKR kombajn na 3 ha zbóż i mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży. Późno, ale trzeba zebrać jak najlepiej, bo plony piękne, w gminie średnio 30 q z hektara...

Poważne opóźnienie żniw stwarza przed rolnikami ogromną, trudną robotę. Nie należy jednak tego zjawiska oceniać jako kataklizmu czy klęski. Trzeba po prostu kosztem zdwojonego wysiłku i wielu wyrzeczeń nadganiać to, co powstrzymała aura I tego zdania jest również Jan Owczarek z Kolonii Bałucz. U Owczarka niegdyś hodowali sarnę, ale im uciekła i teraz trzymają świnie. Tak sobie żartują. Gospodarstwo 12 ha, specjalistyczne, po dwóch latach całkowicie przestawi się na trzodę chlewną. Obecnie Owczarek dostarcza rocznie 100 warchlaków w ramach kooperacji do SKR i 100 tuczników na skup. Budynki się waliły, postawił chlewnię i oborę, na dom musi poczekać, bo nie ma stali. Raz naczelnik dostał... sześć tregrów, to wziął pogorzelec, był pierwszy. A szyn kolejowych nikt nie chce. Za ciężkie i za drogie. Owczarek ma również 3 ha łąk i dlatego hoduje jeszcze 5 dojnych krów i 7 sztuk jałowizny.

Ale siano to żrą również świnie, tylko trzeba je zemleć i wymieszać z kartoflami albo burakami polipastami. Z początku był ciągnik zrobiony ze spalinowego silnika ES 60 do napędu młocarni. Teraz ma prawdziwy ciągnik z kompletem maszyn rolniczych. Do sprzętu 5 ha zbóż: owies, żyto, pszenica. Jeśli pogoda się ustali, sam skosi w ciągu kilku dni. Nie ma co narzekać i załamywać ręce, tylko brać się do pracy...

No, a jeszcze niedawno byli w gminie tacy rolnicy, u których w grudniu owies stał na polu, a w oborze z głodu zdychała zamorzona krowina. A jeszcze dawniej, kiedy zakładano pierwsze kółka rolnicze, traktorzyści patrzyli rano ze zgrozą na wybite szyby i zgniecione maski ciągników.

Ludzie wytłukli kamieniami...

Dzisiaj ci sami ludzie już od stycznia składają w SKR zamówienia na maszyny do żniw. Wiązałki na skoszenie 1320 ha, choć ich „moc przerobowa" wynosi 1440 ha, kombajny zaś do sprzętu, łącznie z areałem SKR, 440 h-, co stanowi 73 proc. ich „mocy przerobowej". Dlatego zamówienia przyjmowane są nadal, bo wiadomo, że rolnicy będą przychodzić jeszcze w ostatniej chwili, już w czasie żniw.

Aleksander Felcenloben, sekretarz rolny KM-G PZPR w Łasku uważa, że jeśli do maszyn posiadanych przez SKR dołączy maszyny żniwne rolników indywidualnych, to ilość sprzętu okaże się zupełnie wystarczająca. Z obsługą też nie powinno być zmartwień, ponieważ aktualnie prowadzi się kurs zaczepowych i omłotowych.

Ale w czasie żniw zawsze odczuwa się brak rąk do pracy. Te będą wyjątkowe...

— **Liczymy na pomoc rodzin z miasta.** Młodzież wiejska przystąpi do akcji „Każdy kłos na wagę złota".

— A części zamienne?

— POM Gorczyn z radiotelefonami i składnica w Łasku, jest już w pogotowiu niemal całą dobę. Będziemy też mieli własną składnicę „Agromy". W trosce o rolników indywidualnych GS sprowadziła dodatkowo 4 tony sznurka do wiązałek, 2 tony sznurka do pras oraz 200 kg smaru do maszyn oraz pewne bra...jące części. Maszyny do skupu zbóż i rzepaku przygotowano należycie. Zadbano również o dzieci, tworząc sześć dziecińców w Bałuczu, Łopatkach, Teodorach, Okupie, Anielinie i Gorczynie. Będą napoje, podstawowe artykuły żywnościowe, gorzej z przetworami mięsnymi...

No tak, ale znając z licznych rozjazdów sprawy wsi, wiem, że nikt tam specjalnie nie liczy na konserwy warzywno-mięsne i rybne. Ucina się łby kurom, kaczkom albo szlachtuje świnię, dzieli z sąsiadami i jakoś leci. Byle to nie było zanadto zakrapiane.

Ostatnio w Łasku na ul. 9 Maja załadowana elementami betonowymi ciężarówka stuknęła pijanego rowerzystę, który pod marynarką wiózł butelkę wina i zmiażdżone szkło pocięło mu jelita...

Ten wypadek nie ma nic wspólnego ze żniwami, ale podobny może zdarzyć się w czasie żniw.

Było i tak, że o północy pod sklepem wiejskim stało z zapalonymi światłami osiem ciągników, a traktorzyści balowali. Ludzie częstują traktorzystę wódeczką, bo może zrobi coś w polu na lewo albo nie dopisze godziny w karcie pracy. A potem nieszczęście...

— Nikogo nie powinno dziwić — mówi kierownik Komisariatu MO w Łasku, porucznik Jan Pielucha — że do akcji żniwnej przystępuje także milicja. Bo jak spłonie pusta stodoła, to jest nieszczęście, ale kiedy spłonie wyładowana zbożem, straty są o wiele większe. Musimy kontrolować zabezpieczenie przeciwpożarowe i zabezpieczenie mienia (ogrodzenie, światło), w bazach ośrodków maszynowych. Kombajny pracują również nocą, trzeba więc zadbać o właściwe oświetlenie, czasem nawet pilotować jakąś maszynę żniwną na drodze, chociażby wiązałkę, która zajmuje dwie trzecie jezdni. Trzeba mieć też oko na dzieci, pouczać je, ostrzegać, wygłaszać pogadanki o groźbie pożarów, nie strzeżonych kąpielisk itp. W czasie żniw nie ma nawet czasu na gotowanie obiadu, informujemy więc władze o niedostatecznym zaopatrzeniu sklepów. Wydałem rozkaz, żeby nie ściągać na przesłuchania świadków ze wsi. Milicjant może pojechać, coś niecoś skontrolować po drodze, i wysłuchać rolnika na polu...

Tak więc w gminie do żniw przystępują dosłownie wszyscy. I to jest konieczne, zwłaszcza w skomplikowanej, tegorocznej sytuacji. Trzeba zrobić wszystko, aby przełamać wywołane przez naturę spiętrzenie prac, ponieważ od sprawnego przebiegu żniw zależy obfitość zboża w elewatorach, a co za tym idzie — większa ilość karmy dla zwierząt, więcej mięsa, mleka i dostatek chleba.

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: Archiwum

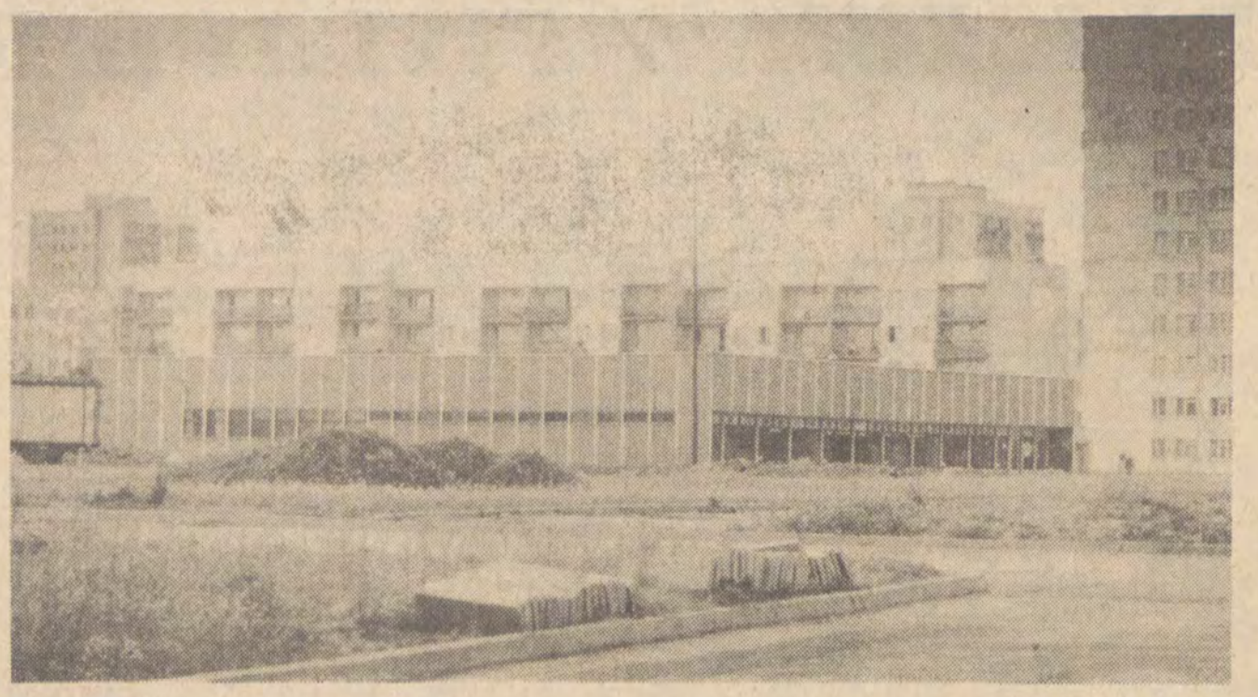

Foto: T. Soldenhoff

TOMASZ SOLDENHOFF

WESTERN WIDZEWSKI

Z okien swojego mieszkania przy ulicy Haszka, Ryszard Ł. widzi co dzień rozległy, płaski, pokryty niebieską blachą pawilon, który tkwi na skraju osiedla. Pas szczerego pola dzieli go od cmentarza, skąd na piwo w cień supersamu przychodzą grabarze i kamieniarze...

Dla tej klienteli ów naleśnik wypełniony w jednej trzeciej taką ilością alkoholu, że pozazdrościć by mu jej mogły wszystkie działy monopolowe wielkich domów towarowych w centrum Łodzi razem wzięte, jest po prostu oazą. Podtrzymuje życie na tej pustyni kulturalnej, jaką tworzą już gotowe i dopiero wznoszone bloki osiedli Widzew — Wschód: C, D i E. Na marginesie tej funkcji jest sklep nr 1871 — czy raczej był w chwili opisywania tych wypadków — jedynym osiedlowym żywicielem 20 tysięcy ludzi. Ludzie kupują w nim chleb i mleko, a w ostatnim czasie — tj. od momentu, gdy supersam ma nowego, bardzo zapobiegliwego kierownika — niejeden mieszkaniec Widzewa wyszedł z tego pawilonu w nowiutkim berecie albo skarpetkach...

KSIĄŻKA ŻYCZEŃ

Ryszard Ł., dopóki wiódł życie samotne, miał względem osiedlowego żywiciela wymagania mniej niż skromne. Ambicje te wzrosły, gdy ze szpitala powróciła żona, a za nią dwaj inni nowi lokatorzy: dziecko i ojciec Ryszarda Ł. Nic więc dziwnego, że lista codziennych zakupów młodego ojca, dotąd ograniczająca się do masła, bułek i czasem piwa, raptownie się wydłużyła...

3 kwietnia 1978 roku Ryszard Ł. wpisuje do książki skarg i wniosków sklepu nr 1871 następujące pytania:

„Uprzejmie proszę o wyjaśnienie: 1) dlaczego książkę skarg i wniosków otrzymałem z dużym opóźnieniem, 2) dlaczego brak jest: a) mieszanek Bebiko, b) mleka witaminizowanego dla niemowląt, c) proszków do pralek automatycznych, d) piwa, e) świeżego pieczywa, f) soków z grapefruitu? Braki te występują stale od dłuższego czasu, dawniej nie występowały — dlaczego?"

Po drugiej stronie kartki czytamy wyjaśnienie kierownika supersamu, z którego dowiadujemy się, że książka wisi tam, gdzie powinna wisieć, a wymienione przez klienta artykuły są zamówione, lecz nie dostarczone. Kierownik informuje, że ponownie złożył zamówienia.

Mija kolejny miesiąc. Pod datą **2 maja 1978 r.** znajdujemy następne wątpliwości Ryszarda Ł. Tym razem jednak ton jego notatki w książce skarg i wniosków, acz wciąż grzeczny, jest bardziej stanowczy.

„Uprzejmie proszę o szybkie wyjaśnienie: 1) dlaczego dotychczas nie otrzymałem pisemnej odpowiedzi w sprawie wniosku z dn. 3.IV.78 r., 2) dlaczego nadal brak jest w sklepie świeżego pieczywa, 3) dlaczego książki wniosków nigdy nie ma na tablicy w widocznym miejscu, lecz p. kierownik wynosi z biura na osobne prośby, 4) dlaczego zamiast książki wniosków znajdują się karty pocztowe, 5) dlaczego w dobie oszczędności energii elektrycznej w sprzedaży są same żarówki 150 W, 6) dlaczego ekspedientka ze stoiska alkoholowego jest taka nieuprzejma?..."

Ale kierownik i tym razem nie daje się przelicytować. Gładko płyną słowa „wyjaśnienia": **„w sklepie jest pieczywo nadające się do spożycia", „książka skarg i wniosków znajduje się w sali sprzedażnej", „żarówki są w sprzedaży 25 W, 40 W, 60 W, 150 W"...** a ekspedientka jest **„bardzo grzeczna i miła".**

Zanim Ryszard Ł. otrzymał jakąkolwiek odpowiedź na swe dwie skargi (dyrekcja nierychliwa, ale sprawiedliwa), zdążył — niestety — przeczytać najświeższe wyjaśnienie kierownika. **6 maja 1978 r.** napisał kolejną uwagę:

„Tym razem uważam, że ktoś, ma mnie w nosie"! Książkę łaskawie wyniosła z zaplecza pani kierownik... Przeczytałem wyjaśnienie poprzedniej skargi: twierdzenie, że książka skarg i wniosków była zawsze na swym miejscu i że ekspedientka jest „grzeczna i miła", to bezczelne kłamstwa"...

Znów mija miesiąc. Na początku czerwca Ryszard Ł. dostaje kolejno dwa pisma z **Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców w Łodzi, Oddział-Widzew,** podpisane przez pierwszego zastępcę dyrektora **Władysława Kozłowskiego.** W piśmie z datą **1 czerwca 1978 roku** dyrekcja tak uspokaja klienta:

„Odnośnie braku książki skarg i wniosków w miejscu widocznym i swobodnie dostępnym dla klientów wyjaśniamy, że z uwagi na powtarzające się skargi z kierownictwem placówki przeprowadzona została rozmowa zobowiązująca do zaniechania przechowywania książki na zapleczu..."

„TEN, CO W SKLEPIE SZUMI"

Łatwo więc sobie — po tych bojach — wyobrazić satysfakcję Ryszarda Ł., kiedy zaszedłszy 9 **czerwca** do sklepu nr 1871 spostrzega, mimo zmroku (tego wieczora na całym osiedlu zabrakło światła), że książka skarg i wniosków wisi na przeznaczonym dla siebie miejscu. Radość Ryszarda Ł. jest tak wielka, że nie może odmówić sobie jeszcze jednej przyjemności. Sięga po książkę i pisze:

„Chciałbym tą drogą podziękować Ob. Dyrektorowi WSS za obydwa pisma, jakie otrzymałem w odpowiedzi na skargi z dn. 3.IV., 2.V., 6.V.78 oraz interwencję w sprawie udostępniania książki wniosków klientowi w przepisowy sposób".

Dalszy ciąg notatki świadczy jednak o tym, że radość była przedwczesna...

— Kiedy wpisywałem podziękowanie — opowie później Ryszard Ł. — **podeszła ekspedientka i aroganckimi uwagami usiłowała zniechęcić mnie do korzystania z książki. Wracałem z pracy i miałem przy sobie aparat. W rewanżu zrobiłem tej pani zdjęcie...**

Ryszard Ł. skończył pisać kolejną notatkę. Wyraził w niej zdziwienie z powodu napaści wywołanej ponownym zainteresowaniem się przez niego książką i obiecuje, że zdjęcie sprzedawczyni dołączy do osobnego listu do dyrekcji. W tym czasie został zaalarmowany kierownik sklepu — Zygmunt H.

— Stałem już w kolejce do kasy — opowiada Ryszard Ł. — **gdy z zaplecza wybiegł Zygmunt H. Był pijany...**

— Co ty mi tutaj szumisz, „cyrki" urządzasz? — posłyszał — **Mam przez ciebie same kłopoty. Nie będziesz mi dłużej w sklepie „brudu" robił! Chodź na zaplecze, pogadamy!**

Ryszard Ł. odmówił.

— Taaak? — powiedział na to Zygmunt H. — **Już ja się postaram, żebyś dostał po pysku....**

Zataczając się, wybiegł przed sklep. Stała tam grupka mężczyzn. Przyszli, aby w ten ciepły, czerwcowy wieczór przed wolną sobotą pokrzepić się dobrodziejstwami oazy.. Nawet kierownik H. przyzna później, że już byli podpici.

— Kierownik wskazywał w moją stronę. Było dla mnie jasne, jaki jest cel tych pertraktacji — mówi Ryszard Ł. — **Kiedy wyszedłem, Zygmunt H. powiedział do tych mężczyzn, pokazując na mnie: „To ten, co mi w sklepie szumi, zdjęcia robi".**

Świadek incydentu, jeden z mieszkańców osiedla, Roman B. powie później:

— Kiedy kupowałem papierosy na stoisku monopolowym, ekspedientki — widząc, że Ryszard Ł. wpisuje się znowu do książki — wyrażały się o nim, oględnie mówiąc, mało pochlebnie... Po wyjściu ze sklepu słyszałem jak kierownik namawiał tych mężczyzn do pobicia Ryszarda Ł., bo on sam — jak się wyraził — tego zrobić nie może... Widziałem jak kierownik wykręcił swemu klientowi rękę. „Proszę mnie puścić" — powiedział pan Ł., a kierownik na to: „Puszczę cię, ale najpierw dostaniesz mocno po nosie"...

Ryszard Ł. nie stracił jednak głowy. Obawiając się o los cennego aparatu fotograficznego — bójka bowiem wydawała się nieunikniona — proponuje kierownikowi wizytę na posterunku MO.

— Myślisz, że się milicji „pękam"? — spytał Zygmunt H.

Kółko rozstąpiło się i zwaśnieni poszli ulicą Haszka w stronę posterunku. W ślad za nimi podążali dwaj mężczyźni, znajomi kierownika stojący dotąd pod jedną z pobliskich budek. Po drodze Ryszard Ł. wysłuchał pogróżek w stylu: **„Ja tu rządzę i nie będziesz mi podskakiwał", „Już ja się postaram, żebyś dostał", „Masz to u mnie jak w banku"** itp.

Ale na osiedlowym posterunku nie zastają nikogo. Ryszard Ł. proponuje więc kierownikowi, by ze sklepu zawiadomił telefonicznie milicję — skoro rzeczywiście, jak mówi: — obawia się o dalsze losy rzekomo „obfotografowanego" przez Ryszarda Ł. sklepu... Zygmunt H. nie skorzystał z tej propozycji.

Niemniej Ryszard Ł. spędził wieczór w domu, oczekując funkcjonariuszy MO. Wieczór nie nastraja zresztą do spacerów poza domem. Wkrótce po incydencie zwizytowali klatkę schodową ci sami mężczyźni, którzy „ubezpieczali" Zygmunta H. w czasie drogi do MO. Przez wizjer w drzwiach swego mieszkania Ryszard Ł. widział, że tamci szukają jego nazwiska na liście lokatorów. Inni zaglądali przez okna balkonu. Ryszardowi Ł. udało się przy pomocy teleobiektywu sfotografować kilku ciekawskich...

ZDANIE DRUGIEJ STRONY

Opowieść Zygmunta H. na temat opisanego tu zdarzenia pełna jest przeinaczeń, zmyśleń i luk. Kierownik zaprzecza na przykład temu, jakoby wyciągnął Ryszarda Ł. z kolejki za klapy. Twierdzi, że nie mógł tego zrobić, bo w supersamie **„kolejki po pieczywo nie ma".** Z całą pewnością nie ma, co łatwo sprawdzić, tyle tylko, że Ryszard Ł. stał w kolejce... do kasy. Kierownik nie potrafi również wytłumaczyć, dlaczego po odmownej odpowiedzi klienta na propozycję wizyty „na zapleczu", wyskoczył przed sklep i zaczął rozmawiać ze stojącymi tam podpitymi mężczyznami.

— Wyszedłem do nich — mówi — **i usłyszałem: „Stoimy tu, bo musimy dziś komuś obić mordę". Ja nie wiem, czy to się mogło tyczyć tego klienta. Powiedziałem im wtedy, że jeśli chcą to zrobić, to nie przed sklepem, bo szyby polecą...**

Zygmunt H. nie przyznaje się również do tego, jakoby znał któregoś z czekających przed supersamem mężczyzn, ani też z idących za nim i Ryszardem Ł. w stronę posterunku, ani — w końcu — któregoś z obserwujących mieszkanie swego klienta.

Kierownik H. usiłuje za to wyolbrzymić rolę aparatu, użytego jakoby przez Ryszarda Ł. do obfotografowania wnętrza pawilonu: drzwi, sufitu, a nawet... książki skarg i wniosków. Ryszard Ł. tymczasem sfotografował jedynie ekspedientkę (nb. zastępczynię kierownika H.). A gwoli ścisłości dodajmy, że fotografowanie w sklepach nie jest u nas zakazane.

Historyjką wyssaną z palca już post factum, podobnie jak bajka o rzekomym obfotografowaniu sklepu, jest także odpowiedź Zygmunta H. na zarzut, że wywołał awanturę będąc w stanie nietrzeźwym. Zdaniem kierownika zmyliła Ryszarda Ł. (i świadków) ostra woń płynu „Wars", którego Zygmunt H. goląc się w sklepie używa później... Wątpliwość czy można pomylić subtelny bądź co bądź zapach „Warsu" z odorem spożytego alkoholu pogłębia jeszcze i to, że nietrwały ten zapach niknie po paru minutach...

Mieszkańcy osiedla, stali klienci supersamu, znający dłużej kierownika H. stwierdzają, że nieraz widzieli go pijanego w czasie pracy. Świadkowie kierownika, których powołał on na konfrontację obu skłóconych stron (odbyła się ona **22 czerwca 1978 r.** z udziałem przedstawicielek dyrekcji w sklepie nr 1871) znani są natomiast działaczom społecznym na osiedlu Widzew-Wschód I jako uczestnicy towarzyskich spotkań przy wódce i piwie „pod chmurką", w sąsiedztwie pawilonu, a nawet w zaciszny biurze pana kierownika. Radny K. z Komisji Handlu przy Radzie Narodowej Łódź-Widzew określił ich dostatecznie wymownie, jako **„tych, którzy dla pana kierownika powiedzieć mogą wszystko"...**

Te opinie o Zygmuncie H. potwierdzają funkcjonariusze MO z IV Komisariatu przy ul. Wandurskiego. Kierownik i w poprzednim miejscu pracy (w sklepie przy ul. Wasilewskiej) znany był z tego, że **„lubił wypić w czasie pracy"** i awanturami ściągał na siebie skargi klientów.

CO Z TEGO WYNIKA?

Na stosunki panujące w sklepie nr 1871 i oblicze kierownika H., przekonanego o własnej bezkarności i nie znoszącego jakichkolwiek przejawów obywatelskiej krytyki, nieco więcej światła rzuca list Marii J., mieszkanki osiedla Widzew-Wschód C, skierowany 18 kwietnia 1978 r. do dyrekcji WSS Społem. List ten nie doczekał się odpowiedzi. Zgłasza w nim Maria J. szereg zastrzeżeń pod adresem zaopatrzenia i stanu sanitarnego sklepu.

„Odniosłam wrażenie — pisze — **że część personelu nastawiona jest wyłącznie na oszukiwanie klientów. Pobierano za artykuły nie opatrzone ceną kwoty niezgodne z cennikiem (czekolada, koncentrat pomidorowy, kakao, ziemniaki itp.), nie doważano na wadze (niesprawne wagi), doliczano do rachunków kwoty za artykuły, których się nie kupiło".**

Obserwując te praktyki Maria J. postanowiła więc wybrać się na otwarte zebranie, zorganizowane w lutym br. przez WSS Społem.

„Uwagi moje — stwierdza w dalszym ciągu swego listu Maria J. — **bardzo nie spodobały się kierownictwu sklepu, a co mnie zaskoczyło najbardziej, również przedstawicielom Społecznego Komitetu Sklepowego. Najprawdopodobniej doszli do wniosku, że jestem rozrabiaczem i postanowili dać mi nauczkę (...) Zaproponowano mi współpracę z Komitetem Sklepowym. Miałam co prawda objekcje, czy będę się nadawała, ale nieświadoma uknutej intrygi zgodziłam się (...) Któregoś dnia w autobusie zostałam zaczepiona przez jedną z członkiń Komitetu i zrugana w sposób zwracający uwagę postronnych, za to, że nie przychodzę na zebrania ani na dyżury do pawilonu" (Marja J. nie otrzymała do tego czasu żadnego zawiadomienia!).**

„Po jakimś czasie zostałam powiadomiona o zebraniu Komitetu w dniu 11.04.78 r. — pisze dalej mieszkanka. — **Na zebraniu przedstawiciele Komitetu do spółki z kierownikiem i przy milczącej aprobacie przedstawicieli WSS Społem zrobili mi ordynarną awanturę. Wykrzykiwano mi, że sama wepchnęłam się do Komitetu, chociaż nikt mnie o to nie prosił, że nie przychodzę na zebrania ani na dyżury, a do sklepu przychodzę nie po zakupy, ale po to, żeby „złośliwie lustrować sklep i złośliwie się uśmiechać", że jestem „człowiekiem wrogo nastawionym do kierownika oraz do całego personelu", że „utrudniam pracę w pawilonie", a „kierownik nikomu nie pozwoli panoszyć się w pawilonie i szantażować się", że — w końcu — pracownicy sklepu i członkowie Komitetu „mają mnie na oku". Ponieważ zarzuty uważałam za absurdalne, a nie dopuszczono mnie do głosu dzięki „straganiarskiemu" zachowaniu się niektórych członkiń, uważałam za stosowne opuścić zebranych.**

Po tym wszystkim co usłyszałam oraz wziąwszy pod uwagę formę w jakiej mi to przekazano, nasuwa się pytanie — w jakim celu są powoływane Komitety Sklepowe i czyje reprezentują interesy, i jaka jest rola przedstawicieli WSS Społem na zebraniach? Do tej pory byłam przekonana, że taki organ społeczny jest buforem na linii personel sklepu — klient".

Maria J. pomyliła się. Brak reakcji Komitetu Sklepowego na krytykę zgłaszaną w książce skarg i wniosków, brak przedstawicieli Komitetu na wspomnianej tu konfrontacji stron w sprawie Ryszarda Ł., styl załatwiania skarg, o którym dowiadujemy się z listu Marii J. ... — wszystko to charakteryzuje stosunki między kierownikiem H., a mającym z założenia przecież kontrolować jego działalność Komitetem Sklepowym. Organ ten zapomniał jednak o swych normalnych funkcjach, a od chwili, gdy jego działalność sprowadza się do knucia intryg i osłaniania kierownika przed krytyką opinii społecznej spoza Komitetu, funkcjonuje właściwie jako twór fikcyjny. Zadość czyniąc nie pisanej umowie z kierownikiem o **„nie mieszaniu się do wewnętrznych spraw sklepu"** w praktyce Komitet Sklepowy przestał istnieć. Uzależniając się zaś od woli Zygmunta H., utrwalał w nim równocześnie przekonanie o swojej niezależności i bezkarności.

Tym większego znaczenia nabrała w tej sytuacji książka skarg i wniosków, jako jedyny praktycznie środek wyrażania opinii publicznej. Tylko ona mogła zaszkodzić Zygmuntowi H.

Była więc chowana przed spojrzeniem klientów i zapełniana nie mającymi pokrycia w rzeczywistości „wyjaśnieniami" (dla zamydlenia oczu dyrekcji?). Systematyczne, konsekwentne notatki Ryszarda Ł. przywróciły jej groźną dla kierownictwa sklepu moc. Na temat znaczenia krytyki przez książkę skarg i wniosków Zygmunt H. powiedział w rozmowie z dziennikarzem:

„— Skarg może sobie pan Ł. wpisywać ile tylko zechce, książek mamy dosyć. Byleby tylko nie przeszkadzał w pracy sklepu..."

Nawiasem mówiąc, wszystkie poprzednie książki zginęły.

JAK ZAKOŃCZYĆ TĘ SPRAWĘ?

Ryszard Ł. stara się zachować obiektywizm. Opisując działalność kierownika podkreśla, że nie zależy mu na osobistej satysfakcji. „Wpisywałem się do książki — mówi — kiedy było źle". Teraz Ryszard Ł. jest skłonny twierdzić, że zaopatrzenie wyraźnie poprawiło się. Dlatego chciał wpisać to podziękowanie.

„Mój list do Szanownej Redakcji — napisał Ryszard Ł. do jednego z łódzkich pism codziennych — **jest nie tyle spowodowany przykrymi faktami dotyczącymi mojej osoby, co społecznym wydźwiękiem zachowania kierownika. Bo w końcu wygląda na to, że spokojny obywatel może zostać w biały dzień pobity przez pijanego pracownika WSS jedynie dlatego, że mając rację (o czym świadczą odpowiedzi Dyrekcji WSS) wpisał się do książki wniosków..."**

Casus kierownika H. i Komitetu Sklepowego przy supersamie nr 1871 skłania do ogólniejszej refleksji nad sposobami reagowania na krytykę w chwili, gdy problem kontroli społecznej stał się przedmiotem sejmowych debat i posiedzeń Rady Państwa (z maja — czerwca 1978 roku), gdy tak wiele mówi się i pisze o potrzebie rozwinięcia szerokiego społecznego ruchu walki z negatywnymi zjawiskami w pracy różnych ogniw państwowych i gospodarczych. Gdy również — w dyskusji nad ideą powołania Komitetów Kontroli Społecznej — nie pomija się działalności samorządów mieszkańców, której celem powinno być ciągłe polepszanie pracy usług i handlu...

— — —

Nie sposób zakwestionować osiągnięć Zygmunta H. Tego, że awansując ze stanowiska kierownika nieduższego sklepu na szefa nowoczesnego supersamu, jedynej przez pewien czas placówki handlowej na 20-tysięcznym osiedlu, w ciągu trzech miesięcy wyprowadził rachunki z fatalnego bilansu, ani tego, że oprócz ośmiu milionów złotych zysku przysparza miesięcznie WSS Społem milion złotych ponad plan. Nie bez znaczenia jest tu fakt, że spory w tym udział mają obroty rozbudowanego działu monopolowego. Ale mniejsza o to, gdyż do władz zwierzchnich kierownika H. bardziej przemawiają właśnie te wymierne efekty pracy zawodowej, niż obserwacje i skargi oraz dylematy moralne części klientów Zygmunta H. Nic więc dziwnego, że dyrekcja widzewskiego oddziału WSS, kierując się handlowym punktem widzenia, podkreśla zapobiegliwość i przedsiębiorczość Zygmunta H., przymykając oko na (trudne co prawda do ukrycia) grzechy i wady.

Wziąwszy taki punkt widzenia pod uwagę można oczywiście zbagatelizować całe opisane tu wydarzenie. Wszak poza siniakiem i wykręconą ręką Ryszard Ł. nie odniósł żadnych obrażeń... Otrzymał już nawet pismo od dyrekcji, w którym ta informuje go, iż kierownika raz jeszcze **„upomniano".**

„— Obecnie czuję się nadal zagrożony — wyznaje Ryszard Ł. — **gdyż obietnica pana kierownika jest aktualna i sądzę, że będzie wykonana".**

Zapewne błędem Ryszarda Ł. było, że zaraz po incydencie nie zgłosił się w komisariacie milicji. A przecież jego obawy są nadal uzasadnione, o czym miałem okazję przekonać się idąc z Ryszardem Ł. koło supersamu. Zaczepki więc nie ustają i nie ustaną tak długo, jak długo jeszcze okolice supersamu będą mekką pijaków i chuliganów.

W sklepie także nie ma Ryszard Ł. sympatyków. Obok epitetów łagodnych raczej (w rodzaju: „chory człowiek, który nie wie, co robić z czasem", „maniak", „nienormalny") zdarza się Ryszardowi Ł. wywołać swoją podejrzaną obecnością sformułowania mniej wyszukane, jak dla przykładu — „ten sk.... od książki".

Nie chcąc nikogo z rodziny narażać, Ryszard Ł. chadza po zakupy samotnie. Artykuł 166 Kodeksu Karnego zna już nawet na pamięć. Artykuł ten głosi:

„Kto grozi innej osobie popełnieniem przestępstwa na jej szkodę lub szkodę najbliższych, jeżeli groźba ta wzbudza w zagrożonym uzasadnioną obawę, że będzie spełniona, podlega karze pozbawienia wolności do lat 2, ograniczeniu wolności albo grzywny"...

Nocą nieznani „goście" łamią rośliny na balkonie...

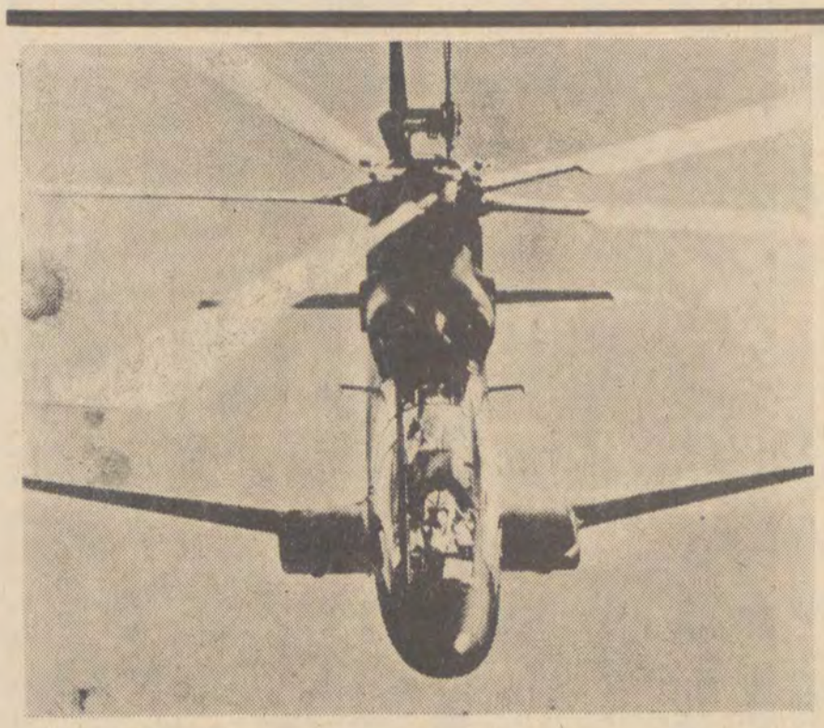

Foto: Archiwum

KRZYSZTOF POGORZELEC

MILIARD każdego DNIA...

400 miliardów dolarów rocznie. Na okrągło więc licząc – na każdy dzień wypada 1 miliard. Tyle aktualnie – powtórzę: a k t u a l n i e – wydaje świat na zbrojenia. Z innego rachunku wynika, że każdy z nas, mieszkańców tej Ziemi „siedzi" na 7 tonach trotylu, jeśli tak konwencjonalnie przeliczymy atomowe arsenały. Stwierdzono również, iż przeciętna współczesna rodzina „oddaje" na zbrojenia więcej niż przeznacza na kształcenie swoich dzieci. W tzw. Trzecim Świecie, jeden żołnierz przypada na 250 mieszkańców, natomiast w tych samych krajach 1 lekarz ma – teoretycznie – pod swoją pieczą 3700 osób. Państwa dotknięte permanentnie plagą głodu – a jest ich jeszcze sporo na naszym globie – wydają pięć razy więcej dewiz na zakup broni niż na import maszyn rolniczych. Szokujące? Tak. A przecież to tylko mała cząstka faktów będących konsekwencją spirali zbrojeń...

* * *

Prezentując tutaj problem rosnącej spirali światowych wydatków na zbrojenia, z całą świadomością ograniczamy się tylko do jednego aspektu owego złowrogiego ciężaru, który swoimi rozmiarami poraża współczesny świat — do jego e k o n o m i c z n o - s p o ł e c z n y c h skutków. Chyba jednak od tej właśnie strony w najostrzejszym świetle pokazuje swoją rzeczywistą twarz ów „wyścig do nikąd" wyciskający piętno na obecnej egzystencji społeczeństw i przyszłym ich rozwoju, wyścig, w rezultacie którego nikt nie czuje się bezpieczniejszy, a biedni stają się jeszcze biedniejszymi.

CIĘŻAR

Powtórzmy: ludzkość wydaje obecnie blisko 400 miliardów dolarów rocznie na zbrojenia, czyli — z dosyć prostego rachunku wynika, nieco tylko zaokrąglając — że każdego dnia współczesny świat przeznacza na cele militarne miliard dolarów...

Mimo że padają tutaj miliardowe kwoty, nie jestem pewny czy w całej rozciągłości oddają one rozmiary — o konsekwencjach będzie w stosownym miejscu — ciężaru, jaki dźwiga współczesny nam świat w rezultacie nie kiełznanej ciągle, mimo wielu wysiłków, spirali zbrojeń. Przedstawmy więc całą tę rzecz jeszcze inaczej. Otóż, owe 400 miliardów dolarów stanowią w przybliżeniu jakieś 5—6 proc. całej światowej produkcji dóbr oraz świadczonych usług. Jeśli jednak w tym rachunku, zresztą i tak pomijającym ze zrozumiałych powodów wydatki ukryte bądź też towarzyszące zbrojeniom, nie uwzględni się wartości usług o charakterze niematerialnym, to otrzymamy jeszcze bardziej wymowny rezultat: wydatki na zbrojenia pochłaniają dziś aż 10 proc. wartości globalnej produkcji świata mającej charakter materialny.

Jak wykazują badania, aktualnie, odsetek dochodu narodowego kierowany na cele zbrojeniowe waha się w większości państw świata między 2 a 8 proc. Są jednak i takie kraje, które na cele militarne przeznaczają 30 i więcej procent swojego dochodu narodowego.

Tak — ogromny potencjał sił i środków, zarówno ludzkich jak i technicznych, materialnych tkwi w zbrojowniach całego świata. Oblicza się, to nie tylko gwoli informacji, że wszystkie armie państw naszego globu liczą aktualnie ok. 22 miliony ludzi, ale od razu powiedzmy sobie, że nie jest to liczba kompletna, wymaga daleko idącej korekty, choćby o zaangażowanych bezpośrednio w sferze produkcji dla celów militarnych, w zaopatrzeniu, transporcie, obsłudze. Po takiej poprawce, przy bardzo ostrożnym rachunku, dochodzimy do liczby 60 milionów ludzi, którzy są bezpośrednio zaangażowani w proces wznoszącej się spirali zbrojeń.

Z dostępnych statystyk wynika, iż liczba osób — bezpośrednio lub pośrednio — uczestniczących w spirali światowych zbrojeń odpowiada mniej więcej stanowi zatrudnienia w przemyśle przetwórczym krajów kapitalistycznych Europy razem biorąc.

Jeśli już jednak jesteśmy przy charakteryzowaniu rozmiaru środków materialnych, które dziś pochłania wyścig światowych zbrojeń, nie wolno zapominać, iż z reguły w grę wchodzi angażowanie najcenniejszych, najlepiej wykwalifikowanych kadr — to jeśli chodzi o czynnik ludzki, natomiast w przypadku techniki i środków materialnej produkcji, zjawisko absorbowania nowoczesnych metod wytwarzania, technologii i techniki, jest jeszcze bardziej wyraźne. Ruth Leger Sivard, były szef badań ekonomicznych Amerykańskiej Agencji ds. Kontroli Zbrojeń, autorka książki „Światowe wydatki wojskowe i społeczne" zauważa w tej publikacji, że blisko 30 proc. światowej kadry naukowej oraz potencjału badawczego „tkwi" w problemach zbrojeniowych. Bez obawy o popełnienie najmniejszego błędu można więc stwierdzić, iż koszty, które ponosi świat na cele wojskowe, ich ciężar gospodarczy i społeczny, jest znacznie większy aniżeli owe 400 miliardów dolarów.

Ale kiedy prezentujemy tutaj problem rozmiarów zbrojeń, środków, które są dziś zaangażowane w ową „spiralę" warto wiedzieć nie tylko to, że na rozwinięte państwa kapitalistyczne przypada dziś ponad połowa wszystkich wydatków tego rodzaju, że według orientacyjnych danych, kraje należące do NATO przeznaczą na ten cel w skali jednego tylko roku kwoty rzędu 150—160 miliardów dolarów. Jest to oczywiście ogromny balast dla społeczeństw nawet krajów o rozwiniętej strukturze ekonomicznej, dużym potencjale wytwórczym.

W natężeniu światowych zbrojeń można wyznaczyć pewne niezmiernie charakterystyczne „punkty graniczne". Tak więc lata 50 i 60-te to bardzo szybki wzrost tych wydatków. Potem — do roku 1975 nastąpiła pewna stabilizacja, by znowu gwałtownie skoczyć w górę.

Niepomiernie większe — od razu powiedzmy: negatywne skutki — musi wywierać tego rodzaju trend na ekonomikach krajów dopiero znajdujących się na drodze do pełniejszego rozwoju, dotyczy to przede wszystkim państw tzw. Trzeciego Świata. Wróćmy jednak jeszcze do potentatów świata kapitalistycznego. Niezmiernie interesujące dane opublikował na ten temat postępowy zachodnioniemiecki tygodnik „Deutsche Volkszeitung". Pisze on: „W roku 1976 w Republice Federalnej wydano 720 marek na głowę ludności — na cele zbrojeniowe. Jeśli idzie zaś o oświatę i kulturę, wydano tylko 58 marek na jednego mieszkańca RFN, jeśli idzie o budownictwo mieszkaniowe — 26 marek, na zdrowie, sport i wypoczynek oraz ochronę środowiska naturalnego — 23 marki. Ministerstwo Obrony RFN planuje w okresie do roku 1988 dokonanie modernizacji uzbrojenia Bundeswehry na sumę ok. 100 miliardów marek. Za tę astronomiczną kwotę Bundeswehra ma otrzymać liczne nowe systemy broni. Do najważniejszych należą:

- **323 wielozadaniowe samoloty „Tornado",**
- **1800 czołgów bojowych „Leopard",**
- **6 fregat typu „122",**
- **420 dział przeciwlotniczych „Gepard",**
- **140 samolotów bojowych „Alpha Jet",**
- **430 helikopterów,**
- **3165 dział przeciwpancernych typu Ho, Tow, Milan.**

Tyle publicysta postępowej „Deutsche Volkszeitung" wskazujący w ten sposób na ogromne, rażące dysproporcje między wydatkami na cele zbrojeniowe i ogólnospołeczne w Republice Federalnej Niemiec.

A państwa Trzeciego Świata? Tak — właśnie te, w których jeden lekarz ma się opiekować 3700 osobami, które wydają pięć razy więcej dewiz na zakup broni niż na import maszyn rolniczych?

Spośród 13 państw świata, które na wydatki wojskowe przeznaczają rocznie ok. 10 proc. swojego dochodu narodowego — 7 to państwa bardzo biedne, o dochodzie liczonym na jednego mieszkańca nie większym aniżeli 500 dolarów. Weźmy teraz pod uwagę Bliski Wschód. Sześć tamtejszych państw wydatkuje na zbrojenia znacznie, ale to znacznie więcej niż 10 proc. swoich dochodów narodowych, a właściwie spośród nich tylko Izrael może uchodzić za państwo o stosunkowo dobrze rozwiniętej gospodarce.

Na obradującej nie tak dawno w Nowym Jorku Specjalnej Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, w której wzięło udział 25 szefów państw i rządów oraz 53 ministrów spraw zagranicznych, Związek Radziecki przez min. A. Gromykę zaproponował podjęcie konkretnych kroków ograniczających spiralę zbrojeń na świecie. ZSRR widzi potrzebę: zaprzestania produkcji wszelkich broni jądrowych, wstrzymania produkcji i wprowadzania wszelkich broni masowej zagłady, zaprzestanie badań nad nowymi rodzajami broni, zaprzestanie zwiększania armii oraz zbrojeń konwencjonalnych.

GORĄCY TOWAR

Powiedzmy sobie jednak również i to, że poza celami politycznymi — niektóre kraje, właśnie te najbardziej rozwinięte ekonomicznie, osiągają poważne korzyści ze spirali światowych zbrojeń, choć zupełnię inną kwestią jest już odpowiedź na pytanie, kto w istocie „ubija" ów interes, czerpie z niego poważne, bardzo poważne zyski.

Po prostu: broń jest też jednym z t o w a r ó w, zajmującym poważne miejsce w międzynarodowym handlu.

Przyglądnijmy się bowiem liczbom. Otóż:

Sztokholmski Instytut Badania Problemów Pokoju — SIPRI stwierdził, że obecna wartość eksportu, licząc w skali jednego roku, uzbrojenia oraz technik wojennych przekroczyła kwotę 20 miliardów dolarów, przy czym ten rodzaj handlu wykazuje niezwykły dynamizm, między rokiem 1961 a 1975 wartość obrotów tego rodzaju „towarem' zwiększyła się o 500 proc., a szczególne miejsce wśród międzynarodowych handlarzy bronią zajmują Stany Zjednoczone, na które przypada 49 proc. wszystkich obrotów. W budżecie USA z roku 1976 pod pozycja eksport broni znajdowała się kwota 9,5 miliardów dolarów, przy czym wiadomym jest, że ta wielkość została znacznie przekroczona. Można bez obaw o popełnienie błędu stwierdzić, iż dwa ostatnie lata były dla amerykańskich eksporterów broni szczególnie pomyślne, jako, że — informacja pochodzi z dobrze „wprowadzonej" w tego rodzaju interesy gazety „New York Times" — w roku 1977 tylko Iranowi, USA sprzedały broń wartości blisko 7 mld. dolarów, natomiast Arabii Saudyjskiej dostarczyły sprzętu wojskowe za 2 mld dolarów. A to przecież nie są najpoważniejsi klienci amerykańskich eksporterów uzbrojenia, na czele odbiorców — importerów znajduje się już od lat Izrael, chociaż z drugiej strony to samo państwo także występuje w roli eksportera sprzedając m.in. 50 myśliwców typu „Kfir C2" Tajwanowi. Izrael dostarczał broń, m.in. ścigacze, rakiety powietrze—powietrze, sprzęt elektroniczny — RPA, Hondurasowi, Brazylii, Gwatemali, Meksykowi, Chile, Grecji oraz Tajwanowi.

Czołówka ekspertów broni w świecie, to: USA, W. Brytania, Francja, RFN, Włochy, Holandia, Szwecja.

Licencje na produkcję sprzętu wojskowego przede wszystkim sprzedają: RFN, USA, Francja, W. Brytania, Włochy.

MITY I RZECZYWISTOŚĆ

Niektórzy spośród polityków, ekonomistów Zachodu, a w ślad za nimi publicyści prasy burżuazyjnej lansują tezę o uzdrowieńczych możliwościach jakie dla gospodarki krajów kapitalistycznych nie mogących ciągle uporać się z kryzysem, tkwią w rozdmuchiwaniu koniunktury zbrojeniowej. Bywa, że na tego rodzaju idee dają się złapać działacze związkowi państw kapitalistycznych — szczególnie tam, gdzie bardzo jaskrawo występują zjawiska bezrobocia. Tak było w przypadku metalowców amerykańskich, którzy w obawie przed utratą pracy, w różnych rezolucjach popierali wysiłki zbrojeniowe USA. W RFN — było to w marcu 1976 roku — przewodniczący rad związkowych 9 największych zakładów zbrojeniowych wystosowali do rządu federalnego pismo akceptujące program rozbudowy i modernizacji Bundeswehry. W piśmie tym była też mowa o rzekomym radykalnym wpływie przemysłu zbrojeniowego na stan zatrudnienia, a także sugestia zliberalizowania przepisów dotyczących eksportu broni z RFN. Tego rodzaju pogląd jest tylko pozornie logiczny. W istocie rzeczy bowiem — pisał o tym zachodnioniemiecki publicysta Gerhard Kade na łamach cytowanej już „Deutsche Volkszeitung": Prawda wygląda zupełnie inaczej. Podobnie jak wszystkie inne gałęzie przemysłu, przemysł zbrojeniowy nie jest wolny od kryzysów i problemów strukturalnych. Również w okresie wielkich zbrojeń w USA — podczas wojny wietnamskiej — w Stanach Zjednoczonych nie znikło bezrobocie. Przeciwnie, jak stwierdził m.in. prof. Seymour Melman z Uniwersytetu Columbia, za 1 miliard dolarów przemysł cywilny tworzy więcej miejsc pracy niż przemysł zbrojeniowy. Także przy rekordowych zamówieniach wojskowych robotnicy są zwalniani z pracy".

I sięgając po przykład z Republiki Federalnej Niemiec:

Bundeswehra w coraz większym stopniu zaopatruje się w broń rodzimego pochodzenia. Jednocześnie wzrasta eksport broni. W roku 1975 wyeksportowano broń za 1 mld marek, w roku 1976 — już za 2 mld. Niektórzy ludzie chcieliby przyzwyczaić nas do „argumentu", że produkcja zbrojeniowa stymuluje gospodarkę narodową i badania naukowe. Prawda jest jednak inna: produkcja zbrojeniowa jest w istocie zaprzepaszczeniem narodowego mienia i opróżnianiem państwowej kasy. Jest to zmarnowany kapitał przynoszący głównie obciążenia natury socjalnej. Produkcja zbrojeniowa na dalszą metę hamuje wzrost gospodarczy. Nie służy ona także nauce. Jak stwierdził już przed kilku laty naukowiec angielski, J. D. Bernal, właśnie w okresie wojny nastąpiły ogromne luki w rozwoju nauk fizycznych w Anglii i w USA. Technika wojskowa jest dziś tak wyspecjalizowana, że liczne produkty nie mogą, nawet bardzo okrężnymi drogami, być zastosowane w sektorze cywilnym. Poza tym zaś „naukowe" wyszkolenie żołnierza, którego uczy się, jak należy burzyć i niszczyć — jest astronomicznie drogie. Na to wyszkolenie wydaje się 80 razy więcej, niż na wyszkolenie dziecka i młodego człowieka.

HAMULEC ROZWOJU

W powszechnym odczuciu światowej opinii, szczególnie tych społeczeństw, które zostały dotknięte strasznymi skutkami wojny, każde zbrojenia, a specjalnie mające charakter długofalowy, niezmiernie ujemnie wpływają na postęp gospodarczy, realizację programów rozwojowych. To przekonanie wywodzi się z oczywistych doświadczeń a ekonomiści stwierdzają po prostu, że każda gospodarka bez pomocy zbrojeń wykazuje naturalną tendencję do wykorzystania zasobów, szczególnie siły roboczej. Lansowanie wydatków wojskowych prowadzi nieuchronnie do wytworzenia się swoistej „konkurencji" wydatków zbrojeniowych z innymi elementami popytu społecznego. W rezultacie rozwój spirali zbrojeń odbywa się kosztem co najmniej wolniejszego wzrostu konsumpcji oraz inwestycji o charakterze produkcyjnym. W konsekwencji takiego stanu rzeczy musi nastąpić ograniczenie, zwolnienie tempa przyrostu aparatu wytwórczego, a w rezultacie — ograniczenie rozmiarów produkcji. Nawet nie wypada tutaj wspominać o skutkach tego rodzaju sytuacji w odniesieniu do takich dziedzin jak ochrona środowiska naturalnego, oświata czy zdrowie, przy czym jest rzeczą zrozumiałą samo przez się, że najpoważniej dotknięte są tym procesem kraje ubogie, rozwijające się, a już wprzęgnięte w zbrojeniowy wyścig.

★ W ciągu 25 lat ludność świata wzrośnie do 6 mld mieszkańców. 87 proc. ludności świata będzie żyło w krajach rozwijających się;

★ Do końca bieżącego stulecia deficyt żywności Trzeciego Świata wyniesie ok. 100 mln ton. Aby temu zapobiec należałoby 3—5-krotnie podnieść produkcję rolną w tych krajach.

★ Na świecie jest obecnie ok. 800 mln analfabetów. W latach 1960—1970 o jakieś 8 milionów wzrosła liczba analfabetów mężczyzn, a o 40 mln — wśród kobiet. Dziś około 500 mln kobiet na świecie nie potrafi czytać i pisać.

Trzeba też jeszcze dodać, że choć kraje socjalistyczne dysponujące w większości rozwiniętą bazą produkcyjną, w dodatku opierające się o zasady planowanego rozwoju, międzynarodowego podziału pracy, uzyskują wysokie wskaźniki postępu gospodarczego, niemniej i na tempie ich ekspansji gospodarczej odbija się ów „wyścig do nikąd" narzucony przez animatorów nie tylko zimnej wojny...

* * *

Wypadałoby zakończyć ten publicystyczny wywód jakąś klamrą, konkluzją podkreślającą nie tylko skalę marnotrawstwa gospodarczego, ale i groźby jaką dla świata niesie z sobą niepohamowana spirala zbrojeń. Może więc przypomnieć słowa wypowiedziane przez Karola Marksa, który stwierdził, że „wojna, to w bezpośrednim sensie ekonomicznym znaczy to samo, jak gdyby naród wrzucał część swojego kapitału w wodę". A może raczej przytoczyć w tym miejscu Różę Luksemburg i jej stwierdzenie: „Z siły napędowej rozwoju kapitalizmu militaryzm stał się także chorobą kapitalizmu"...

Foto: Archiwum

Z „ORBISEM" DOOKOŁA ŚWIATA

Rozmowa z dyrektorami Zarządu Oddziału Polskiego Biura Podróży „ORBIS" w Łodzi – CZESŁAWEM TOMCZYKIEM i JANEM JANUSZKIEWICZEM.

Foto: Archiwum

— „Orbis" każdemu z nas kojarzy się przede wszystkim z możliwością kupienia biletu kolejowego lub autobusowego oraz z zagranicznymi wycieczkami. A przecież nie jest to pełna działalność „Orbisu"?

C. TOMCZYK: — Pewnie, że nie. Jest ona o wiele bogatsza. Zajmujemy się wszystkim, co wiąże się z turystyką krajową i zagraniczną, organizujemy wczasy oraz zajmujemy się obsługą podróżnych, rezerwujemy miejsca w pociągach, samolotach, autobusach i to zarówno w kraju, jak i za granicą.

— Przymiotnik „orbisowski" niektórzy utożsamiają z pojęciem drogi, ekskluzywny. Czy tak jest istotnie?

J. JANUSZKIEWICZ: — Kiedyś byliśmy jedynym biurem podróży. Teraz jest ich więcej. Stąd może wzięło się nieporozumienie.

— A w jakiej cenie są na przykład wasze wycieczki zagraniczne?

C. TOMCZYK: — Od 7 tysięcy do 115.400 złotych.

— Co „Orbis" oferuje za 7 tysięcy?

J. JANUSZKIEWICZ: — Pobyt w Rumunii lub Bułgarii.

— A co za 115.400 złotych?

C. TOMCZYK: — Wycieczkę do Brazylii, Boliwii, Peru.

— I ludzie to kupują?

J. JANUSZKIEWICZ: — Kupują. Nie reklamowaliśmy tych wycieczek, a nie ma ani jednego wolnego miejsca. I proszę nie myśleć, że pojechali tam przysłowiowi „badylarze", jacyś kombinatorzy, czy coś takiego. Nie. Pojechali ludzie tak zwanych wolnych zawodów, którzy odkładają sobie pieniądze właśnie na taki egzotyczny urlop.

— Ile dni trwa taka egzotyczna wycieczka?

C. TOMCZYK: — 24 dni.

— A w ogóle na ile dni można wyjechać z „Orbisem"?

C. TOMCZYK: — Od 3 dni do 30. Terminy układamy tak, aby nie kolidowały one z wielkością urlopów, aby każdy mógł wybrać sobie odpowiadającą mu wycieczkę. Na przykład do Francji lub Włoch można wybrać się autokarem na 26 dni.

— Kto według „Orbisu" jest idealnym turystą?

J. JANUSZKIEWICZ: — Ludzie po 60 latach, którzy wybierają się w świat, aby coś zobaczyć, coś przeżyć. Mamy już stałych klientów, którzy oczekują spokojnie na wolne miejsce w wybranym przez siebie kierunku. Na przykład przychodzą i proszą o miejsce w wycieczce do Japonii, bo tam jeszcze nie byli i chcieliby zobaczyć Japonię.

— Czy na wszystkie wycieczki jest taki popyt?

C. TOMCZYK: — Jest z tym różnie. Z Rumunii otrzymaliśmy więcej propozycji niż możemy je zapełnić. Skończyła się moda na Turcję. Musieliśmy nawet odwołać kilka rejsów z Warny do Istambułu.

— Jaka jest tego przyczyna?

C. TOMCZYK: — Nie posiadamy z Turcją umowy, która chroniłaby polskiego turystę w Turcji. Zdarzyło się naszym turystom wiele przykrych spraw. Szczególnie ze strony tureckich celników.

— Nasi turyści zdaje się nie byli bez winy.

C. TOMCZYK: — Bez wątpienia. Ale co innego jest ukaranie kogoś za naruszenia obowiązujących w danym kraju przepisów, a co innego wymuszanie konsekwencji za sprawy nie zawinione. Było i tak, że polski turysta wracał do kraju bez samochodu.

Foto: Archiwum

— Dlaczego nie ma zainteresowania Rumunią?

J. JANUSZKIEWICZ: — Jest zainteresowanie, ale nie w takich rozmiarach, jak nam zaproponowano. Przede wszystkim nie ma chętnych na dość drogie imprezy organizowane w Rumunii. Na przykład 17-dniowy pobyt na wybrzeżu rumuńskim, w tym wycieczka statkiem do Turcji, skalkulowano na 17 tysięcy, ale po dodatkowych opłatach cała ta impreza kosztowała 19 tysięcy i to już nie każdemu opłacało się. Stąd nasze Biuro Zagranicznej Turystyki Wyjazdowej musiało z takich wycieczek zrezygonwać.

— Wycieczki zagraniczne nie mają dobrej prasy. Wielu turystów rusza w świat z myślą, aby nie tylko coś zobaczyć, ale i zahandlować, bo to się opłaca i koszt wycieczki się zwraca. Czy — i w jakim stopniu — dotyczy to waszych wycieczek?

C. TOMCZYK: — Dotyczy. Stąd też kładziemy wielki nacisk na to, aby nasi piloci dokładnie informowali turystów, jak się mają zachować, co im wolno i gdzie, jakie są kary za naruszanie przepisów i praw. Ale to nie zawsze i nie do końca odnosi skutek. Jechała grupa ludzi z Tomaszowa Mazowieckiego. Celnikowi oświadczyli, że nic nie mają. A mieli kryształy. Musieli ponieść tego konsekwencję. Nie wszyscy wyjechali.

W sumie jednak na wielką ilość organizowanych wycieczek takie przypadki zdarzają się rzadko.

J. JANUSZKIEWICZ: — Przede wszystkim to nie są turyści. A po drugie — handlują nie tylko Polacy. W wielu krajach nasz turysta jest nieustannie nagabywany przez tuziemców, którzy gotowi są kupić wszystko. W Egipcie, albo w Turcji śmieją się z turysty, który nie ma nic do sprzedania. W ogóle turystyka, jak się temu uważnie przyjrzeć, jest znakomitym barometrem dla handlu zagranicznego.

— Skoro jesteśmy przy wyjazdach z Polski, to chciałabym jeszcze dowiedzieć się, jak was, jako kontrahentów szanuje PKP?

C. TOMCZYK: — Może pania to zdziwi, ale my do PKP mamy najmniej pretensji. Dla nas w tym wypadku jest do dobry kontrahent. Najwięcej kłopotów mamy z autokarami. Ilość i stan taboru nie jest taki, aby nie zdarzały się awarie, co w bardzo różny sposób utrudnia nam działalność turystyczną.

J. JANUSZKIEWICZ: — „Orbis" utożsamia się często z przewoźnikiem, a my jesteśmy pośrednikiem. My nie mamy umowy z PKP na przedsprzedaż biletów, pobieramy je od „Polresu". I tu mamy paradoksalną sytuację. Za pośrednictwo płaci nie firma, która powinna nam płacić prowizję, ale płaci za to klient. Inaczej natomiast sprawa wygląda z PKS.

C. TOMCZYK: — Tu już mówimy i o obsłudze pasażerów w kraju. My nie mamy żadnego wpływu ani na kształtowanie rozkładu jazdy, ani na wielkość składu pociągów, ani na ilość wagonów sypialnych, które kursują na konkretnych liniach. Nas się po prostu nikt o to nie pyta.

— A przecież panowie, jako przedstawiciele „Orbisu" macie na ten temat sporo różnych uwag.

C. TOMCZYK: — Oczywiście. Trudno jest ukryć, że PKP traktuje Łódź po macoszemu. Być może leżymy za blisko Warszawy, aby można było inaczej traktować pasażera rozpoczynającego podróż z Łodzi. Komu na przykład jest potrzebny pociąg, który odjeżdża z Łodzi do Zakopanego około godziny 18 i przyjeżdża do Zakopanego około 3 nad ranem. Co podróżny ma z sobą zrobić o tej porze? Wraca ten pociąg do Łodzi zaraz po północy i jest się w Łodzi około 10 godziny.

— Nie można więc wrócić z wczasów, wykąpać się i pójść do pracy.

C. TOMCZYK: — Nie, trzeba cały dzień przyjechać wcześniej. Ale to nie jest oczywiście wszystko. Takich przykładów można byłoby podać więcej.

— „Orbis" nie tylko wywozi turystów z kraju, ale też przywozi ich do Polski.

J. JANUSZKIEWICZ: — Tak. Obsługujemy osiem województw. Biuro Turystyki Zagranicznej Przyjazdowej „Orbisu" zawiera konkretne umowy i zleca nam opiekę nad tutaj przyjeżdżającymi wycieczkami.

— Gdzie najchętniej przyjeżdżają zagraniczni turyści?

C. TOMCZYK: — Różnie. Nasz oddział w Łowiczu zajmuje się opieką zagranicznych turystów, którzy przyjeżdżają do Arkadii i Nieborowa. Przyjeżdżają w Góry Świętokrzyskie i zajmuje się nimi oddział w Kielcach. Nie jest to jednak w naszych obrotach duży procent. Chcemy trochę uatrakcyjnić nasz teren i zaproponować zwiedzanie centralnej Polski zagranicznym turystom.

— Czy Łódź cieszy się zainteresowaniem obcokrajowców?

C. TOMCZYK: — Sprawa nie jest prosta. Do tej pory nie mieliśmy dostatecznej ilości miejsc w hotelach, więc nie staraliśmy się zbytnio Łodzi reklamować.

— Teraz sytuacja zmieniła się.

C. TOMCZYK: — Pozornie. Owszem przybyło miejsc w nowych hotelach, ale proszę nie zapominać, że Łódź jest przecież centrum przemysłowym, posiada przedsiębiorstwa handlu zagranicznego, tu odbywają się też różne konferencje i spotkania, jest też centrum naukowym. Dla spełniania takich funkcji też potrzebne są miejsca w hotelach. To, co nam przybyło zostało szybko wchłonięte i znów znaleźliśmy się w sytuacji poprzedniej. Poza tym często Warszawa, kiedy tam są kłopoty z miejscami, podrzuca nam turystów. No i również zwiększa się ilość turystów.

J. JANUSZKIEWICZ: — Opinia, że Łódź jest mało atrakcyjna dla turystów pokutuje jeszcze tu i ówdzie, ale obserwujemy coraz większe zainteresowanie Łodzią. Interesują się Łodzią turyści ze Związku Radzieckiego. Byli tu niedawno Jugosłowianie, Czechosłowackie Biuro Podróży „Czedok" interesuje się polskimi promami i chce za naszym pośrednictwem rozwijać turystykę do Skandynawii. Wtedy Łódź byłaby miastem etapowym na trasie nad Bałtyk. Również Węgrzy interesują się Łodzią. Myślimy o tym, aby zainteresować Łodzią turystów z NRD.

— Waszym obowiązkiem jest również interesowanie się walorami turystycznymi wszystkich 8 województw. Jakie tu macie panowie plany?

C. TOMCZYK: — W Kielcach wyremontowano hotel „Bristol", jest więc podstawa, aby reklamować walory turystyczne tego, ciekawego przecież i atrakcyjnego rejonu. Myślimy również o Płocku. Tutaj zdobyliśmy trochę doświadczeń, bo zajmujemy się obsługą turystyczną cudzoziemców pracujących w Płocku, czy we Włocławku. Możemy się zorientować, co ich interesuje, co dla nich może być trakcyjne.

No i proszę pamiętać, że organizujemy również wycieczki dla zagranicznej Polonii, która odwiedza kraj. Ich wszystko interesuje, co dzieje się w „starym kraju". Często Łódź jest kolejnym etapem w podróży po Polsce. Więc i to stwarza nam szansę pokazywania środkowego rejonu Polski.

— Wozicie po kraju nie tylko cudzoziemców, nie tylko przedstawicieli Polonii zagranicznej, ale też i rodaków.

J. JANUSZKIEWICZ: — Organizujemy im wczasy. Posiadamy jako jedyni w kraju Centralną Dyspozycję Wczasów z usług której korzystają inne okręgi. Ale podaż wczasów jest mniejsza od popytu. Mamy nieliczne pensjonaty, które przede wszystkim są przeznaczone dla turysty zagranicznego. Organizujemy też wczasy korzystając z bazy noclegowej. Ale to wszystko mało.

— Wczasy nie są waszą jedyną działalnością krajową?

J. JANUSZKIEWICZ: — Oczywiście, że nie. Prowadzimy turystykę krajową niejako w trzech płaszczyznach. O wczasach już mówiłem. Organizujemy też wycieczki autokarem po Polsce. Są one głównie przeznaczone dla przedsiębiorstw i często opłacane z funduszu socjalnego. I organizujemy różne imprezy na zlecenie oddziałów czy okręgów. Na przykład do Łodzi chętnie przyjeżdżają do Teatru Wielkiego, do Teatru Powszechnego, Nowego, im. S. Jaracza. Na koncerty, na imprezy rozrywkowe. Organizujemy lub współdziałamy przy organizowaniu występów zespołów takich jak „Śląsk", „Mazowsze" i inne, w tym zagraniczne. I Łódź w tej dziedzinie zajmuje dość poważne miejsce wśród innych okręgów „orbisowskich".

— A hotele i gastronomia?

C. TOMCZYK: — Zajmuje się tym wydzielone przedsiębiorstwo. Realizuje nasze zamówienia. My jednak zajmujemy się turystyką. Wprawdzie inne, bratnie przedsiębiorstwa, jak na przykład „Bałkantourist", czy „Czedok", albo „Reise Biuro" w NRD mają wszystko w jednym ręku. Jest to model optymalny. Czy sprawniej działa? Różne są na ten temat opinie.

— Prowadzicie również obsługę podróżnych.

C. TOMCZYK: — Wspominaliśmy już o tym.

— Mówiliśmy jednak o waszej współpracy z PKP, a macie przecież drugiego kontrahenta — PKS. Jak się układa współpraca „Orbisu" z PKS?

J. JANUSZKIEWICZ: — Dobrze. Do PKS nie mamy na ogół pretensji. PKS 98 procent miejsc w autobusach daje do naszej dyspozycji i my prowadzimy przedsprzedaż na 30 dni naprzód. Orientując się w zainteresowaniu ilością miejsc w dalekobieżnych autobusach PKS, możemy sygnalizować na przykład potrzebę dodatkowego autobusu na trasie do Kołobrzegu. W zasadzie PKS spełnia nasze postulaty. PKS też ma jednak kłopoty z taborem i nie zawsze jest w stanie dać tyle, ile byłoby akurat potrzeba. Ale narzekać nie mamy powodów.

— Prowadzenie tak szerokiej działalności, stały kontakt z ludźmi, którym nie zawsze można załatwić to, co oni chcą i tak, jak oni chcą, powoduje konflikty. Niewątpliwie napływają do was skargi. Czy jest tego dużo?

C. TOMCZYK: — Nie. Często jednak nie dotyczą one pracy „Orbisu", gdyż nie wszyscy wiedzą, że my pełnimy rolę pośredników i nie za wszystko możemy odpowiadać. To nas nie może w żadnym wypadku usprawiedliwiać. Obowiązkiem wszystkich pracowników „Orbisu" jest rzetelna, solidna, sprawna obsługa podróżnego i turysty. I robimy wszystko, aby tak było. Wielu ludzi jest zadowolonych z naszych usług i to nas bardzo cieszy, daje nam satysfakcję.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

U PRZYJACIÓŁ

Zakład Literatury Rosyjskiej i Innych Literatur Słowiańskich Uniwersytetu Wrocławskiego, kierowany przez prof. dra hab. Zbigniewa Barańskiego, prowadzi od lat wielokierunkowe badania nad dziejami polsko-rosyjskich związków literackich. Probram tych badań, przedstawiony jeszcze w czerwcu 1950 roku na sesji filologicznej I Kongresu Nauki Polskiej, stał się podstawą szeroko zakrojonych prac nad polsko-rosyjskimi i rosyjsko polskimi związkami kulturalnymi i ich wpływami na rozwój kultur, a zwłaszcza literatur.

W trakcie badań prof. dr hab. Franciszek Sielicki opracował dzieło poświęcone najstarszej kronice ruskiej, tzw. „powieści minionych lat", a także utworom literatury staroruskiej przechowywanym w Bibliotece Ossolineum we Wrocławiu. Wrocławscy rusycyści skoncentrowali się w swych badaniach głównie na wieku XIX, a zwłaszcza na okresie obejmującym lata 1863—95, kiedy to postępowa literatura rosyjska wyrażała nie tylko sprzeciw wobec prześladowań Polaków, zwłaszcza po powstaniu styczniowym, ale także głęboki podziw dla ich bohaterstwa oraz solidarność z walką narodowowyzwoleńczą. Literatura ta wywierała duży wpływ na młodzież polską, zwłaszcza studiującą na rosyjskich uniwersytetach.

Interesujące są także badania nad atrakcyjnością wielkiej, XIX-wiecznej prozy rosyjskiej w Polsce w okresie międzywojennego dwudziestolecia oraz prace zainicjowane ostatnio nad polską i rosyjską poezją rewolucyjną XIX i XX wieku.

Badania na temat zagadnień współczesnych polsko-radzieckich stosunków literackich prowadzone są we współpracy z naukowcami z Moskiewskiego Instytutu Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk Związku Radzieckiego oraz wydziałów filologicznych Uniwersytetu Moskiewskiego i Leningradzkiego, a także Instytutu Literatury Rosyjskiej Akademii Nauk ZSRR w Leningradzie.

* * *

Współczesny obraz plastyki NRD oraz jej nowe tendencje zilustrowała VIII Wystawa Sztuki tego kraju w Dreźnie, stanowiąca podsumowanie twórczości artystów plastyków w 1977 roku. Wystawiono około 3.000 prac wybranych przez jury spośród 15.000 nadesłanych. Łącznie pokazano dzieła ponad półtora tysiąca twórców. Około 100 z nich to młodzież, debiutująca w imprezie liczącej już ponad 30 lat.

Przewodnimi tematami eksponowanych prac jest życie klasy robotniczej, międzynarodowa solidarność, przyjaźń z bratnimi krajami socjalistycznymi.

Wielu twórców wraca w swych dziełach do problematyki walki klasowej w krajach kapitalistycznych i solidarności z narodami Chile, Wietnamu, Hiszpanii, Portugalii i Południowej Afryki. Twórcy NRD sięgają też do tematów historycznych, zwłaszcza do okresu poprzedzającego II wojnę światową, starają się ukazać źródła faszyzmu a także okropności wojny wywołanej przez hitleryzm. Dla wielu artystów plastyków NRD inspiracją twórczości były podróże do Związku Radzieckiego.

Ciekawy dział wystawy stanowią również prace artystów, którzy, uchodząc przed faszystowskim terrorem ze swych krajów, znaleźli w NRD drugą ojczyznę.

* * *

Z okazji Święta Odrodzenia w Związku Radzieckim odbyły się liczne imprezy kulturalne. W Leningradzie, na przykład, zorganizowano tydzień filmów polskich, zainaugurowany pokazem filmu Jerzego Kawalerowicza „Śmierć prezydenta". Telewizja moskiewska natomiast nadała specjalny, półtoragodzinny program o Polsce przygotowany przez TVP.

* * *

Teresa Żylis-Gara wystąpiła w roli tytułowej w „Madame Butterfly" Pucciniego, wystawionej przez Operę Paryską.

* * *

Harcerska orkiestra symfoniczna z Bytomia uczestniczyła w wielkim wiedeńskim festiwalu „Młodzież i muzyka" z udziałem kilku tysięcy muzyków z dwudziestu krajów. Polski zespół, który zaprezentował m. in. utwory Moniuszki otrzymał nagrodę specjalną za najlepszą interpretację wykonywanych utworów.

* * *

Wielki „Festyn polski" zorganizowany przez Polonię w Baltimore w ach 22—23 lipca był okazją do prezentacji i podsumowania niemałego dorobku kulturalnego organizacji polonijnych.

* * *

W programie XIV Dni Warszawy w Sofii wystąpiła z galowym koncertem orkiestra kameralna „Arcis Varsoviensis" spotykając się z gorącym przyjęciem publiczności.

KAIR

NAJWIĘKSZA WIEŚ ŚWIATA

Egipt jest nie kończącą się wstęgą oaz, która, na podobieństwo wijącego się węża, znaczy prostokąt pustyni. „Misr" — arabska nazwa Egiptu znana już z Biblii — starożytny kraj obfitości, który na przestrzeni tysiącleci przyciągał chciwe spojrzenia śródziemnomorskich i afrykańskich władców, dziś rozpaczliwie stara się wyrwać z sieci nie rozwiązanych problemów zarówno wewnętrznych, jak i międzynarodowych.

W okresie ulewnych deszczów — ogromna rzadkość w Kairze — chaos i nędza panujące w mieście stają się szczególnie widoczne. Ulewny deszcz jest dla stolicy ZRA prawdziwą katastrofą: niszczy do reszty zgrzybiałe budynki, zatapia ulice w morzu wody, pozbawia całe dzielnice elektryczności, łączności telefonicznej i cóż za ironia, wody. Kanalizacja przestaje działać i jej nieczystości przemieniają każdą uliczkę w cuchnące bajoro. Najmniejsze nierówności ulic zapełniają się momentalnie grzązką gnojówką, a przejeżdżające samochody wyrzucają w górę fontanny błota, opryskując wokoło wszystko i wszystkich. Pod arkadami starożytnego akweduktu zziębnięci ludzie tulą się do brudnych murów. O zmroku ten obraz wydaje się jeszcze bardziej ponury.

Nazajutrz po burzy nie działa ani jeden telefon — telefony nie będą zresztą działać jeszcze kilka dni. Parę dni później kairska gazeta „Al-Achram" poinformuje, że deszcz uszkodził 5889 linii telefonicznych w tym 3569 bardzo poważnie. Ale słońce przywraca Kairowi jego zwykły wygląd. Ludzi, którzy byli w Kairze kilka lub kilkanaście lat temu, uderzają dziś dramatyczne i głębokie sprzeczności życia codziennego w Egipcie, szczególnie widoczne w stolicy. To największe miasto Afryki i świata arabskiego: 5.084.462 mieszkańców w granicach miasta — według danych spisu ludności z 1976 roku — a ponad 8 milionów łącznie z przedmieściami, stało się dziś największą wsią świata. Potworną, gigantyczną, przerażającą wsią przypominającą ogromne mrowisko z wysepkami miejskiego dostatku, wyniośle odgradzającego swoje bogactwo od otaczającego go zewsząd chaosu, brudu, nędzy i ogólnego upadku. Dzielnica Bułak w Kairze napawa zakłopotaniem. Setki kobiet w długich kwiecistych sukniach siedzą w kucki na trotuarach przed małymi koszyczkami, proponując kupno nożyc do drutu, mydła, agrafek, szpilek, grzebieni, przeróżnych śrub i nakrętek, spinaczy, gwoździ... Obok apatycznie żują swoją paszę owce i muły. W wąziutkich uliczkach wprost na jezdni, Arabowie majstrują coś ze starych samochodowych opon. Na skraju trotuaru zostawił ktoś olbrzymi kosz wypełniony łbami cieląt.

Przez okrągłą dobę nie milknie w Kairze ogłuszający koncert klaksonów. Przez wszystkie ulice płynie wolno strumień samochodów mijających się w zupełnie nie przewidzianych miejscach. A przy tym to nieustające mrowie ludzi! Kair, to gigantyczny ludzki kocioł o temperaturze bliskiej wrzenia. I trudno sobie nawet wyobrazić skalę katastrofy która się wydarzy, kiedy pęknie klapa bezpieczeństwa. Tak już zresztą było, gdy w styczniu ub. roku powszechny głód wywołał burzliwe wystąpienia, bezlitośnie stłumione.

To ludzkie mrowie rozrasta się z każdym dniem, przyjmując wciąż nowych ludzi, przybywających ze wsi. Wieś bowiem nie może już wykarmić chłopów — 40 milionów Egipcjan mieszka na zaledwie 4 proc. terytorium kraju, a powierzchnia uprawianej ziemi nie przewyższa 35 tys. km kwadratowych! Ludzki strumień płynie wartko przez zaniedbane, brudne trotuary i jezdnie, i rozbija się na drobne strumyki sączące się przez liczne niepozorne mostki dla pieszych, które omijają lub przecinają — na wysokości dziesięciu metrów nad ziemią — takie duże place, jak np. Midan at-Tachir czy Plac Dworców.

Piąta część ludności Egiptu mieszka w stolicy, zdolnej pomieścić półtora miliona ludzi. W centrum Kairu, na jednym kilometrze kwadratowym tłamsi się 23.737 ludzi, 100 tys. osób mieszka na cmentarzach. Stare dzielnice miasta biją światowy rekord gęstości zaludnienia: 136 tys. ludzi na kilometr kwadratowy w Bab asz-Szarija, na peryferiach Kairu. Stan budynków jest tu najbardziej opłakany. Jak utrzymuje gazeta „Al-Achram", w 1977 roku 30 proc. domów w stolicy kraju znajdowało się w stanie całkowitej ruiny. Ale i w tych jest niesamowicie tłoczno, bywa iż w jednym małym pokoiku gnieździ się po kilka rodzin krewnych lub obcych.

A jednak buduje się w mieście. Są to przede wszystkim domy czynszowe ale odnajmowane w nich mieszkania nie są na kieszeń przeciętnego Egipcjanina. Wysokość komornego ustala specjalna komisja. W teorii jest to rozwiązanie wręcz demokratyczne jak na społeczne koncepcje Sadata, ale w praktyce posiada moc pułapek, które pozwalają właścicielom domów, mimo obowiązujących przepisów, kierować sprawami najmu czy kupna i sprzedaży z korzyścią dla siebie. Najczęściej mieszkania wynajmuje się obywatelom krajów wydobywających ropę naftową po niesłychanie wysokich cenach, nierzadko po tysiąc funtów miesięcznie.

Kto skończy studia uniwersyteckie, jeśli ma szczęście, może zostać urzędnikiem z wynagrodzeniem miesięcznym 28 funtów (funt egipski — równa się ok 1,5 dolara amer.). Minimalna miesięczna płaca robotnika wynosi 12 funtów, dochód chłopa — 30 piastrów dziennie (tj. ok. 9 funt. egip.). Do 1973 roku należało do dobrego tonu służyć w wojsku (podporucznik otrzymuje 35 funtów miesięcznie). Teraz wiele się zmieniło na gorsze, ponieważ bardzo podniosły się ceny. Korespondent francuskiego pisma „Demain l'Afrique'" podaje, iż pewien kapitan, którego poznał w Kairze, zarabia 60 funtów miesięcznie i nocą musi dorabiać jako kierowca taksówki, żeby zebrać tysiąc funtów na czynsz za mieszkanie. Miliony ludzi znajdują się w sytuacji, kiedy muszą stanąć przed dramatycznym wyborem, albo kraść, albo emigrować. W wojsku narasta niezadowolenie, lecz najmniejsze próby protestu kończą się aresztem. Mimo to w armii, już trzeci rok, rozwija działalność ruch pn. „wolnych nowych oficerów".

W całym Egipcie ludzie mówią coraz głośniej o jednym: „wszystko jest drogie, żyć coraz trudniej". Oczywiście nie wszystkim jest tak ciężko. W dzielnicy bogaczy nie odczuwa się ani braku pieniędzy, ani braku towarów. Tu zachwala się politykę Sadata — politykę „otwartych drzwi". Oczywiście dla zagranicznych kapitałów. Jednakże przeciętny Egipcjanin, żeby móc zaspokoić swoje codzienne potrzeby w sferze utrzymania, ma do wyboru trzy możliwości: tak zwane sklepy „tumini" (służba zaopatrzenia) w których wszystko sprzedaje się na kartki. Ryż, cukier, mleko, herbatę, sztuczne masło można tu kupić po bardzo niskich cenach. Następnie sklepy „hamaie" (spółdzielcze), które poznaje się natychmiast po gigantycznych kolejkach o każdej porze dnia i nocy. Tutaj obowiązują twarde ceny ustalane przez państwo. I wreszcie tzw. „wolny rynek", na którym można kupić absolutnie wszystko. Tylko po jakich cenach!

O ile stary Kair zmienił się w ciągu minionych dziesięcioleci, o tyle egipska wieś zachowała wszystkie cechy starożytnego Egiptu. Wszystko pozostało tu tak, jak było tysiące lat temu. Te same starożytne urządzenia — „szadufy" i „sakia" (szadufa — mechanizm stosowany w głębokiej starożytności do czerpania wody, sakia — koło wodne wprawiane w ruch przez zwierzęta), choć jest ich nieco mniej po wybudowaniu Tamy Asuańskiej. Te same brudne kanały, te same dumne wielbłądy, te same osły godzące się ze swoim losem, ta sama ciężka egzystencja i ta sama nędza.

Ekonomiczna sytuacja Egiptu jest rozpaczliwa, a w ub. roku stała się wręcz krytyczna. Cała gospodarka, jak nigdy przedtem, ponosi dotkliwe straty. Zastępca premiera d.s. finansowych przypisuje pewne ożywienie ekonomiczne aktywności sektora wydobycia ropy naftowej. (Egipt jest od niedawna eksporterem nafty) i sektora turystyki, a przede wszystkim Egicjanom pracującym za granica, głównie w innych krajach arabskich, którzy przysyłają pieniądze do kraju. Jednakże w tradycyjnych gałęziach przemysłu i w — niezmiernie ważnym życiowo — sektorze gospodarki rolnej sytuacja ulega stałemu regresowi.

Egipt ludzi pracy wykazuje — jak określają to nawet korespondenci pism zachodnich — zdumiewającą równowagę ducha i cierpliwość. Pracujący Egipt musi wykonywać niebezpieczną ekwilibrystykę — żeby utrzymać się na powierzchni i — za wyjątkiem nadętej mniejszości przeróżnych żarłocznych pasożytów opływających w dostatek — wegetuje w przerażającej nędzy.

JERZY CZECH

BOMBA „N"— ZŁOTY SEN MONOPOLI

Obecnie wyraźnie widać rozdział między siłami walczącymi o zakaz tworzenia nowych typów i systemów broni masowej zagłady, przede wszystkim bomby neutronowej, a zwolennikami nowej rundy wyścigu zbrojeń. Koła, które przejawiają maniakalną niecierpliwość w swoim dążeniu do uzbrojenia w bombę „N" krajów NATO, kryjąc się za dymną zasłoną propagandowych kłamstw, stosują wszelkie możliwe metody nacisku. Wojskowo-przemysłowy kompleks uparcie dąży do osiągnięcia swego celu. Jednakże wahania niektórych europejskich partnerów USA w NATO pozwalają sądzić, że wytworzyła się opozycja przeciwko nowej broni także w rządowych sferach szeregu krajów zachodnich.

Jednakże pod pozorem modernizacji amerykańskiego jądrowego potencjału taktycznego, który i bez tego jest ogromny, pentagońscy generałowie nadal przepychają ideę rozmieszczenia broni „N" w RFN i innych europejskich krajach należących do NATO, wiążąc swój plan rzekomo z problemami bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Nie ma jednak nawet mowy, żeby broń neutronową rozmieścić na terytorium Stanów Zjednoczonych!...

Broń neutronowa, którą oględnie określono „ładunkiem jądrowym o zmniejszonej sile wybuchu", jest doskonałym towarem i obiecującym kolosalne zyski takim dostawcom Pentagonu jak: „Rockwell International", „Du Pont de Nemours", „Morgan", „Mellon" i in. Zrozumiałe, że te monopole są zainteresowane przede wszystkim w seryjnej produkcji nowej broni. Z drugiej strony naukowcy w USA twierdzą iż staje się coraz bardziej oczywiste, że amerykański przemysł cierpi na pewnego rodzaju „zaczopowanie żył", które rozwinęło się wskutek braku środków na pokojowe badania naukowe i opracowania konstrukcyjne. Wiele gałęzi przemysłu USA zdaje sobie dziś sprawę, że stanęło w miejscu z punktu widzenia postępu naukowo-technicznego. Według danych amerykańskich, 50 proc. środków asygnowanych przez rząd federalny na badania naukowe i prace doświadczalno-konstrukcyjne w 1976 roku finansowym skierowano na programy wojskowe oraz 14 proc. na badania kosmiczne, które w USA są ukierunkowane głównie na potrzeby wojska. Stanowiło to sumę 12 miliardów dolarów, z globalnej sumy 20 mld przeznaczonych przez rząd na rozwój badań naukowych i postęp techniczny.

Nic nie może usprawiedliwić produkcji i rozwijania broni neutronowej. Zaprzecza to sprawie międzynarodowego odprężenia i stwarza zagrożenie dla pokoju na całym świecie. Poza tym na terytorium Zachodniej Europy i tak już rozmieszczono 7 tysięcy jednostek amerykańskiej taktycznej broni jądrowej ogromnej mocy. Rozwijanie broni neutronowej, niemal siłą rzeczy prowadzi do eskalacji wyścigu zbrojeń.

Generalny Sekretarz KC KPZR Przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, Leonid I. Breżniew przestrzegł kraje członkowskie NATO mówiąc, iż Związek Radziecki nie pozostanie pasywnym obserwatorem. Jeśli na Zachodzie zostanie stworzona nowa broń, ZSRR będzie postawiony przed koniecznością dania odpowiedzi na to wyzwanie. „Nie chcemy tego — powiedział L. I. Breżniew — i dlatego proponujemy porozumienie o wzajemnym wyrzeczeniu się produkcji bomby neutronowej, żeby uratować świat przed pojawieniem się tej nowej broni masowej zagłady. Takie jest nasze szczere pragnienie, taka nasza propozycja pod adresem mocarstw Zachodu".

(C)

■ OBRADY NIEZAANGAŻOWANYCH
■ ZNIECIERPLIWIENIE KAIRU
■ KRYZYS W PORTUGALII

Na dwa różne punkty świata, odległe od siebie geograficznie, zwrócona jest teraz uwaga: **na Hawanę**, gdzie rozpoczął się pod koniec ub. tygodnia XI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów oraz **na Belgrad**, gdzie w tym samym czasie toczyły się obrady ministrów Spraw Zagranicznych krajów niezaangażowanych. Temu drugiemu wydarzeniu poświęcimy nieco miejsca.

Przed dwoma laty — w sierpniu 1976 roku w Colombo zebrał się szczyt niezaangażowanych, na którym omawiano aktualne zadania ruchu. Teraz **ministrowie dyskutują nad sprawozdaniem Biura Koordynacyjnego, które ocenia miniony okres.**

W powitalnym przemówieniu prez. Tito podkreślił, że „polityka niezaangażowania z natury rzeczy wymierzona jest przeciw imperializmowi, neokolonializmowi, rasizmowi oraz wszelkim innym formom obcej dominacji". Ruch niezaangażowanych walczył i walczy o realizację idei pokojowego współistnienia, co oznacza potrzebę ciągłości walki. Obecnie występuje konieczność przyhamowania wyścigu zbrojeń i ustanowienia nowego międzynarodowego ładu ekonomicznego. Pokój jest znów zagrożony przez przybierający coraz straszliwsze rozmiary wyścig zbrojeń i politykę siły. Rodzą się więc napięcia, dochodzi do kryzysów, a nawet otwartych interwencji militarnych. Dziś — wyprowadził stąd wniosek prez. Tito — istnieje większa niż kiedykolwiek potrzeba dynamicznego działania ruchu krajów niezaangażowanych w sprawach międzynarodowych.

O zainteresowaniu problemami, jakie znalazły się na porządku dziennym konferencji, świadczyć może **liczba prawie 80 mówców zgłoszonych do dyskusji**. Ale komentatorzy uwypuklają przede wszystkim to, iż spotkanie w Belgradzie może się przyczynić do przywrócenia jedności, często naruszonej. I tak **powszechną uwagę zwrócił fakt spotkania ministrów Spraw Zagranicznych państw arabskich.** (Nie miało ono miejsca od dnia, w którym nieoczekiwana wizyta Sadata w Izraelu doprowadziła do rozłamu w grupie tych państw). Co więcej — postanowili kontynuować rozmowy, głównie na temat problemu palestyńskiego. Powołali też komitet na szczeblu ambasadorów, który ma opracować wspólną płaszczyznę działania świata arabskiego w sprawie rozwiązania kryzysu bliskowschodniego.

Na tym przykładzie widać, że konferencja belgradzka może mieć duże znaczenie nie tylko w warstwie decyzji, wynikających z porządku obrad.

Jeśli już wspomnieliśmy o Bl. Wschodzie — odnotujmy, że pod koniec ub. miesiąca Narodowa Rada Bezpieczeństwa w Aleksandrii podjęła **decyzję o wydaleniu izraelskiej misji wojskowej, która przebywała w Kairze od stycznia.** Wyjaśnijmy, że misja ta była częścią komisji wojskowej, utworzonej po grudniowym szczycie egipsko-izraelskim. Zachodni obserwatorzy komentują ten krok jako wyraz zniecierpliwienia Kairu twardym i nieustępliwym kursem Tel Awiwu. — Chcemy dobrosąsiedzkich stosunków — powiedział minister Spraw Zagranicznych Egiptu Kamel — lecz sprawa terytorium i suwerenności musi być wyłączona z jakichkolwiek negocjacji. Powiedział również, iż polityka, którą kontynuuje Begin, czyni kontakty ze stroną izraelską zwykłą stratą czasu. Trudno o bardziej **otwarte potwierdzenie fiaska** dotychczasowych rozmów bilateralnych, a zatem i samej koncepcji separatystycznego porozumienia!

Przenieśmy się teraz do Europy, aby skomentować **ostatnie wydarzenie w Portugalii.** Mamy oczywiście na myśli rozłam w koalicji rządowej i w jego następstwie ustąpienie premiera Mario Soaresa, którego dymisja została przez prezydenta przyjęta. Wprowadza to kraj w okres „próżni politycznej", z której wyjściem najbardziej prawdopodobnym będzie powołanie rządu tymczasowego, składającego się z technokratów i uchwalenie w ciągu półrocza przez parlament nowej ustawy, pozwalającej na przeprowadzenie przedterminowych wyborów.

Niedługi był żywot koalicyjnego gabinetu Soaresa — utworzony został 26 stycznia br. i opierał się na porozumieniu zawartym kilka dni wcześniej między Partią Socjalistyczną i prawicowym Centrum Demokratyczno-Społecznym. Przewidywaliśmy na tym miejscu, że sztuczna koalicja nie ma perspektyw i drogi będą musiały się rozejść. Tak się właśnie stało i to za sprawą Centrum, które ostatnio zwiększało nacisk na premiera, aby przyjmował jego płaszczyznę polityczną. Soares odmówił, partnerzy wycofali więc trzech swych ministrów i spowodowali kryzys.

Jakie będą jego następstwa?

Powiedzieliśmy powyżej — najpewniej wcześniejsze wybory. Czy jednak zmienią one układ sił politycznych? Raczej nie lub w niewielkim stopniu — takiego zdania jest większość obserwatorów. Dlatego też **Portugalska Partia Komunistyczna uważa, że rząd powinien powstać w oparciu o większość parlamentarną.**

W. SŁAWSKI

sport

NIECIEKAWY POCZĄTEK

W sobotę i niedzielę, a więc w ostatnie niemal dni lipca 1978 roku rozpoczęły się mecze 51 edycji rozgrywek ligowych w piłkę nożną. Z tej to okazji wiele znów pisano o widowiskowości meczów piłkarskich, o tym, czy powinny one być ładne i skuteczne. Zastanawiano się, czy „rozumowa" piłka nożna w popularności nie zostanie wyparta przez inne dyscypliny sportowe. Sądząc z ilości widzów na trybunach boisk piłkarskich, na których rozgrywano pierwsze mecze jesiennej rundy, sprawa już się „rypła", bo ludzi było raczej malutko.

Pamiętajmy jednak, że to dopiero początek, że lipiec dobiegł końca, a sierpień za pasem i jedni jeszcze nie wrócili z urlopów, a inni na urlopy wybierają się, więc i zainteresowanie ligowymi spotkaniami raczej wątłe. Pamiętajmy również, że na boiska wybiegli piłkarze w zmienionych składach, starych, doświadczonych i zgranych zastąpili młodsi, a więc i poziom niektórych meczów był raczej letni, bo i upał był spory. Stąd wszystkim bardziej marzyły się jeziora i lasy niż rozgrzane płyty boisk i rozpalone słońcem trybuny.

Nie było więc na ligowych boiskach ciekawie i gdyby na podstawie pierwszych meczów chcieć ułożyć prognozę na całą rundę jesienną lub na cały nawet sezon, to byłaby to prognoza pesymistyczna. Trzeba byłoby założyć, że nasi ligowcy grać będą nadal pasywnie, aby tylko uratować punkty, że nie ma widoków na skuteczność, czyli na strzelanie bramek.

Na 8 spotkań rozegranych w ubiegłą sobotę i niedzielę 4 mecze zakończyły się remisem, w tym jeden bezbramkowym. Co drugi więc mecz zakończył się remisem. W sumie strzelono 17 bramek, a więc na każdym meczu padło średnio 2.125 gole. Jak twierdzili sprawozdawcy radiowi, więcej bramek padło na boiskach drugiej ligi, gdzie też niegdawna pierwszoligowa drużyna Górnika Zabrze przegrała wysoko. Ale z tego wszystkiego nic jeszcze nie wynika.

Ładnie rozpoczęła jesienną rundę krakowska Wisła, o której mówi się, że chce powtórzyć swój ubiegłosezonowy sukces i ponownie zdobyć tytuł mistrza Polski. Wisła grała z chorzowskim Ruchem i była na swoim boisku lepsza, bardziej skuteczna. Był to jej t y s i ę c z n y mecz, nic dziwnego, że chciała wygrać. Wygrała wysoko, bo 3:1. Kibice Wisły musieli być z tego zadowoleni. Gorzej czuli się kibice Ruchu, który jest zasłużonym klubem piłkarskim, ale też nie wiodło mu się w ubiegłym sezonie i w tym pewnie będzie chciał się zrehabilitować w oczach nie tylko chorzowskich kibiców.

Dobry początek zrobił też ŁKS, chociaż pod koniec meczu piłkarze ŁKS, jakby uspokojeni prowadzeniem 2:0, dali się zaskoczyć rywalom i niewiele brakowało, aby szczecińska Pogoń wyrównała. Tak się na szczęście nie stało. Był to dobry mecz i należałoby sobie tylko życzyć, aby jedenastka ŁKS nadal wykazywała tyle ambicji i zapału do walki. Bądźmy optymistami. ŁKS obchodzi w tym roku 70-lecie swego istnienia i piłkarze dołożą chyba wszelkich starań, aby w jubileuszowym roku nie wypaść źle.

Niewiele można natomiast powiedzieć o jedenastce RTS Widzew, która zremisowała w Mielcu, otwierając ligowe konto jednym punktem. Miejmy jednak nadzieję, że RTS Widzew pozbiera się po licznych zmianach, jakich dokonano w drużynie i nie trzeba się będzie o ten zespół martwić.

Mało można powiedzieć o drużynach startujących po raz pierwszy w tym sezonie w pierwszej lidze, o warszawskiej Gwardii i katowickim GKS. Obie drużyny zremisowały co daje im po punkcie, ale te wyniki nic jeszcze nie mówią o ich dalszych losach.

Na szczęście i mnie się urlop należy, będę więc mogła dalej śledzić ligowe rozgrywki już tylko dla czystej przyjemności. Kiedy wrócę z urlopu sytuacja w ligowej tabeli będzie bardziej klarowna. Nie jestem jednak optymistką w sprawie dyskusji o atrakcyjności i skuteczności naszej piłki nożnej, o jej walorach widowiskowych. Podyskutować to my sobie możemy, ale będą to tak długo spory czysto akademickie, jak długo z boisk ligowych nie popłyną argumenty, które mogłyby pokazać, na ile zmieniła się nasza piłka ligowa. Ale i na to pytanie otrzymamy odpowiedź nieco później, jako że trudno dyskutować o piłce nożnej, kiedy na boiskach nic się jeszcze nie dzieje.

BOGDA MADEJ

Foto: Archiwum

NIGGERS

To czarni otworzyli drogę Carterowi do Waszyngtonu. To amerykańscy Murzyni swym poparciem dźwignęli go na urząd prezydencki. W tym twierdzeniu jest wiele prawdy. Prawie 21 procent ludności Stanów Zjednoczonych to obecnie czarni. A jest przecież bezspornym faktem, że 90. procent spośród nich oddało swe głosy na Cartera, co zapewniło mu gładkie zwycięstwo w kilkunastu stanach. Czarni bardzo na Cartera liczyli. Czy aby się nie zawiedli?

Tym właśnie problemom cały cykl artykułów i reportaży poświęcił francuski dziennik „Le Monde". Chciałbym pokrótce te pozycje omówić. Są zastanawiające. Pobudzają do refleksji. Przynoszą też sporo interesującego materiału o rzeczywistym położeniu ludności kolorowej w Stanach Zjednoczonych. Więc w państwie, które w oczach wielu uchodzi za kraj nieograniczonych możliwości, gdzie każdy ma równe szanse do zrobienia kariery.

Vernon Jordan, dyrektor „Ligi Miejskiej", której zadaniem jest niesienie pomocy obywatelom „kolorowym", tak określił bieżące ich położenie:

— Przed objęciem prezydentury Carter był naszym przyjacielem. Dlaczego więc czarni stracili iluzję co do zamierzeń nowej administracji? Dlaczego obecnie, kiedy Carter jest prezydentem, uważają, że ich zdradzono? Moim zdaniem administracja złamała pierwsze przykazanie obowiązujące w świecie polityki. Nie popiera tych, którzy ją poparli. To myśmy wybrali Cartera prezydentem. Niestety, on, jak się zdaje, zapomniał o tym.

Oczywiście, jest pewien postęp. W tym powojennym okresie czarni dobili się prawa podstawowego. Już głosują. A jeszcze w 1940 roku zaledwie co dwudziesty z nich odważał się stanąć przed urną wyborczą. W 1964 roku ze swych praw skorzystało 43 procent czarnych, a w ostatnich wyborach prezydenckich 65 procent. Czarni już głosują. To fakt. Ale to wciąż za mało, by mogli wywierać jakiś istotniejszy wpływ na politykę Waszyngtonu. Po drugiej stronie oceanu działają pewne czynniki w sposób niezawodny. To kapitał. To banki. To tak zwane wielkie finanse. Z tymi siłami każdy prezydent liczyć się musi. Obecność czarnych w świecie finansów jest prawie żadna. I to właściwie niejako z góry przesądza o ich losie. Aby wywrzeć presję na waszyngtońską administrację, trzeba mieć poparcie wielkich grup finansowych. Tego poparcia czarni nie mają. I to właściwie tłumaczy wszystko.

„Le Monde" przyznaje, że Carter dokłada usilnych starań, by zmniejszyć plagę bezrobocia. Prezydent chciałby obniżyć stopę bezrobocia z 7 procent do 4 procent w 1983 roku. Takie są plany. Takie przedstawiano projekty Kongresowi do rozpatrzenia. Kongres w tych kwestiach jeszcze się nie wypowiedział. Ale program jest. Dobra wola istnieje. To z inicjatywy Cartera dano wielkim ośrodkom miejskim potężny zastrzyk 8 miliardów dolarów na rozwijanie robót publicznych i komunalnych. Skorzystali na tym głównie zamiatacze ulic. Ale co dalej? Co czternasty obywatel Stanów Zjednoczonych jest w dalszym ciągu bezrobotny. To już wielomilionowa armia ludzi w pełni sił, którzy z desperacją rozglądają się za jakimkolwiek zajęciem.

„Z lotu ptaka — pisze Alain Carron w „Le Monde" — **Nowy Jork robi niezapomniane wrażenie. W blasku słońca migocze stal ogromnych drapaczy nieba, zielenią się pyszne parki, błyszczą przecinające metropolie szerokie pasma autostrad. Wszystko się jednak zmienia, gdy się stanie w Harlemie na 125 ulicy. To ta główna arteria w dzielnicy, kiedyś żydowskiej, obecnie zamieszkałej wyłącznie prawie przez czarnych. Zauważyłem, że jestem na tej ulicy jedynym człowiekiem o białej twarzy. Raptem zdało mi się, że wylądowałem w jakimś afrykańskim mieście. Doznałem dziwnego uczucia. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jestem człowiekiem niewidzialnym. Jedni odwracali ode mnie oczy. Drudzy udawali, że widzą powietrze. Jeszcze inni, odwracając głowę, rzucali przez zęby pod moim adresem niecenzuralne przekleństwa".**

Alain Carron opisuje wrażenia z nocnego patrolu policyjnego po ulicach Harlemu.

„Dwaj policjanci, z którymi jechałem, pochodzą z dzielnicy Bronx. Martin jest metysem o wadze 100 kilogramów. Andy to czarny. Obaj współpracują ze sobą od wielu już lat i doskonale się uzupełniają. Wpierw udaliśmy się na osławione skrzyżowanie 147 ulicy i 8 alei. To na tym rogu w zeszłym roku 8 osób zostało zabitych, a kilkadziesiąt odniosło ciężkie obrażenia. To tutaj załatwiały swe porachunki gangsterskie bandy operujące przede wszystkim w handlu narkotykami. Tego dnia skrzyżowanie było puste. — Policja to wymiotła — wyjaśnił Martin. — Teraz to draństwo przeniosło się w inne miejsca".

Rzeczywiście, całe grupy „trafikantów", więc handlarzy narkotykami, spotkaliśmy na rogach 147 ulicy. Za każdym razem Martin uchylał szybę samochodu i wołał — rozejść się, no jazda, ale już. „Trafikanci" markowali rozejście się, a po chwili znów stali na swoich miejscach.

— Nic wielkiego — tłumaczył Martin. — **Lepiej ich zostawić w spokoju. Aresztowania nic nie dają. Dziś zatrzymamy jednego, a jutro pokaże się w tym samym punkcie dziesięciu innych. Handel narkotykami odbywa się na zapleczu barów. Ale niech pan spróbuje kogokolwiek tam zaskoczyć. To marzenia ściętej głowy. Czujki stoją wszędzie.**

TE BARY MIJALIŚMY PO DRODZE — pisze Allain Carron — **wcale się przy nich nie zatrzymując. Wszędzie rzucał się w oczy brud i niechlujstwo. Na chodnikach walały się potłuczone butelki, wiatr rozrzucał po jezdni całe stosy śmieci i papierów. Pod murami snuły się kobiety o twarzach somnambulików. Jakiś starzec krzyczał na cały głos, że okradziono go z czeku pomocy społecznej. Jakaś dziewczyna pędziła za mężczyzną obładowanym pakunkami, wymachując nad głową siekierą. — Łapać złodzieja, łapać złodzieja — krzyczała dziewczyna. Patrol zatrzymał się. Martin i Andy wysiedli. — Co tu się dzieje — zapytał Martin. Odpowiedział mu chóralny śmiech stojących na chodniku. Okazało się, że byliśmy świadkami zwykłej kłótni rodzinnej".**

Po drodze Martin, który doskonale znał Harlem, gdyż sam w sąsiedztwie się wychowywał, zaczął tłumaczyć, jak trudno jest w tej dzielnicy **„nie robić nigdy żadnych głupstw".** Mało kto tutaj pracuje. Ci ludzie żyją z zasiłków i kradzieży. Żyją z handlu narkotykami i z prostytucji. Wielu się narkotyzuje, wielu się upija. Zdarza się, że piętnastoletni chłopcy jeżdżą luksusowymi samochodami i ubierają się w szyte na miarę garnitury. Jak do tego dochodzi? To bardzo proste. Ci chłopcy ryzykują. Gangsterzy wykorzystują ich jako „łączników" do przerzucania dużych niekiedy ilości narkotyków z jednego krańca tego kraju na jego kraniec drugi. Jak się przerzut uda, płacą po królewsku. Często wynajmuje się tych chłopców dla dokonania morderstwa. Otóż w Nowym Jorku morderca, który nie skończył siedemnastu lat, pójdzie do więzienia najwyżej na rok. A zabić człowieka dla kogoś, kto należy do ulicznego gangu już po skończeniu siedmiu lat, to tyle co nic.

„W drodze powrotnej — ciągnie Alain Carron — **przejeżdżaliśmy ciemnym zaułkiem, przy którym stało kilka wspaniałych amerykańskich limuzyn. Sam chrom i sam nikiel. Wewnątrz skóry lamparcie. — No, widzi pan — Andy wskazał ręką te wozy. — To są samochody tych szejków handlu narkotykami i szefów prostytutek. Oni tu uchodzą za książęta. Szanuje się ich tutaj i poważa. A młodzi chłopcy tylko o tym marzą, żeby pewnego dnia też zasiąść w takich limuzynach".**

Byłem w Harlemie przed pięciu laty — dodaje już od siebie francuski dziennikarz. — I stwierdzam, że nic w niczym w tej dzielnicy przez ten czas się nie zmieniło. Ten sam pejzaż miasta, które wygląda jak po ciężkim bombardowaniu. Porozwalane domy, powybijane szyby, wypalone rudery i owa atmosfera strachu i niepewności, która snuje się po wszystkich zaułkach.

Przypuszcza się, że w Stanach Zjednoczonych wykształciła się w ostatnich latach ośmiomilionowa armia, tworząca tak zwaną „underclass", swego rodzaju „subproletariat". Takiego zdania jest amerykański tygodnik „Time". To dno nędzy i upokorzenia. Nowa „underclass" składach się z białych mieszkających w Appalachach, z „latynosów", przede wszystkim jednak z czarnych. Kiedyś miasta przemysłowe stanowiły dla czarnych ową „ziemię obiecaną", do której tłumnie przybywali z południowych stanów. Dziś te miasta to rodzaj pułapek, z których czarni nie mogą się wyswobodzić. Żyją w zamkniętych, wyizolowanych gettach. Czarni nie mają szans.

Taka opinia zaczyna przeważać wśród tych wszystkich dziennikarzy europejskich, którzy w ostatnich latach odwiedzili Stany Zjednoczone. Ten brak szans ma różne korzenie. Są nimi oczywiście względy rasowe. Ale nie tylko. Jest nim też brak kwalifikacji. Przedsiębiorca prywatny kieruje swoim przede wszystkim interesem. Poszukuje ludzi, których mógłby zatrudnić z pożytkiem dla siebie. Inne kwestie mało go interesują. Firma ma przynosić dochód. Firma jest nowocześnie wyposażona. Ma rozmaite urządzenia sterowane elektronicznie. Mnóstwo nawet tych drobniejszych zakładów jest skomputeryzowanych. Dla analfabetów miejsca tu nie ma.

Analfabetyzm w Stanach Zjednoczonych? Byłoby to możliwe?

Alain Carron z paryskiego „Le Monde" badał rzecz u źródła i stwierdził, że analfabetyzm jest w skądinąd jakże bogatych Stanach Zjednoczonych faktem niepodważalnym. Carron powołuje się na analizy dokonane w tym zakresie przez wyspecjalizowane grupy naukowe uniwersytetów w stanie Texas. Rezultaty tych dociekań okazały się zastanawiające. Otóż udowodniono, że 23 miliony Amerykanów, to dziś autentyczni analfabeci. Ci ludzie nie potrafią przeczytać w gazecie najprostszych informacji. Ale tylko jeden biały na stu nie potrafi czytać ani pisać. Natomiast co drugi czarny jest absolutnym analfabetę. Prawie 56 proc. „latynosów" to również analfabeci.

Skutek tego jest oczywisty. Nie ma przecież dymu bez ognia. Nie ma skutku bez przyczyny, a przyczyny bez skutku. Co drugi czarny w wieku do lat 20 to bezrobotny. A jakie są tego następstwa, widać gołym okiem nie tylko na ulicach Harlemu. Gwałty, rozbój, złodziejstwo, narkomania i szerząca się wśród młodzieży prostytucja. Człowiek młody, przez społeczeństwo odrzucony, usiłuje wziąć na tym społeczeństwie odwet. Jest przepojony nienawiścią do wszystkiego co go otacza. Jest odtrącany, więc próbuje mścić się w taki czy inny sposób na tych, którym w życiu powiodło się nieco lepiej. Co drugi czarny, poniżej trzydziestki, waląsa się po ogromnych metropoliach Ameryki bez zajęcia. Nie ma szans, gdyż spotkał się nieoczekiwanie z konkurencyjną lawiną, która uderza o brzegi Stanów Zjednoczonych od strony Porto-Rico i Meksyku. Szacują, że aktualnie przebywa w Stanach 12 milionów nielegalnych imigrantów, głównie właśnie Meksykańczyków. Ci ludzie są zatrudnieni przy najtrudniejszych, najbrudniejszych i najgorzej płatnych robotach. Są cisi i pokorni. Są potulni. Bo żyją w Stanach, jak to się powiada, z duszą na ramieniu, na sfałszowanych dokumentach, albo bez żadnych dokumentów.

To jest to błędne koło. I nie widać z niego żadnej furtki, nawet na tym najdalszym horyzoncie.

Pewnie, że dziś czasy inne. Czarnych nie wolno już dyskryminować w sposób oczywisty i bezwzględny. Z punktu widzenia prawa czarny jest równie dobrym obywatelem jak Amerykanin o białej skórze, anglo-saskim pochodzeniu i protestanckiego wyznania. Prawo jest jedno. To prawda. Ale życie, to drugie. Życie chodzi zwykle własnymi drogami i wydeptuje własne ścieżki. Co do formy, stosunki na linii biali — czarni uległy wyraźnej poprawie. Co do treści, nie zmieniło się nic. Biali są przeświadczeni, że coś siedzi w czarnych zdecydowanie obcego. Czarni są przekonani, że z zimnym wyrachowaniem spycha się ich na margines polityki i gospodarki. Tylko od wielkiego dzwonu biały zaprasza czarnego do własnego domu. A w gruncie rzeczy, nie zdarza się to prawie nigdy.

A co z mieszanymi małżeństwami?

Przecież to jest ten najlepszy papierek lakmusowy, który najdobitniej mówi o rzeczywistej integracji ras w amerykańskim społeczeństwie. Alain Carron informuje, że według udostępnionych mu danych, w dziesięcioleciu 1960—1970 zawarto w Stanach 64.789 mieszanych małżeństw. Jest to tyle co nic. Bo corocznie dochodzi w Stanach do kilku milionów małżeństw. Tak więc mieszane małżeństwa to dosłownie promille ogólnej ilości małżeńskich związków. Mieszane małżeństwo nie wywołuje już skandalu w amerykańskich miastach. Ale wywołuje wciąż niemiłe zdziwienie, żeby nie powiedzieć z trudem hamowaną wrogość. Przekonał się o tym sam Alain Carron, który zaprosił do restauracji w Chicago czarnolica Karin Haiwood i udawał, że jest jego małżonką. Łapał przy stoliku złowrogie spojrzenia, które mu dały wiele do myślenia.

Dziennikarz paryskiego „Le Monde" wpadł raczej z przypadku do niewielkiego salonu fryzjerskiego w Nowym Orleanie. Kiedy się przedstawił, fryzjer zrobił teatralny gest, jakby chciał wezwać na świadków wszystkich swych klientów i zawołał:

— Słuchajcie tylko, ten gość chce napisać reportaż o czarnuchach. Nie mógł lepiej trafić, zaraz mu wytłumaczę w czym rzecz. Tylko prośba, panie dziennikarzu, jak pan zechce napisać słowo „czarny", to niech pan nie zapomni, że poprawnie pisze się to słowo „nigger". W tym momencie salon fryzjerski aż się zatrząsł od chóralnego śmiechu.

A jednak czarni zaczynają odpływać z Północy, z powrotem na Południe. Kiedyś, przed laty, zdawało się im, że w uprzemysłowionych okręgach północno-wschodnich rejonów Ameryki znajdą wolność, pracę i względne równouprawnienie. Tymczasem znaleźli się w gettach. Są jak w potrzasku. Są bez pracy i są bez perspektyw. Więc z powrotem ciągną do stanów południowych, na ziemię swych przodków. Alain Carron podaje, że ta wewnętrzna emigracja nasila się z roku na rok. Po prostu czarni czują się na Południu bardziej u siebie. Dziennikarz cytuje wypowiedź Toma Denta, znanego poety:

— Nasza historia zaczęła się na Południu. Wielki strumień czarnej ludności płynie od Nowego Orleanu aż po Morze Karaibskie. To tutaj najsilniej odżywają nasze afrykańskie tradycje w tańcach, muzyce, kuchni i w artystycznym rzemiośle. Tu jesteśmy w domu. Tu wykształcamy też własną kulturę, odrębną od tych innych, właśnie nasza.

— Marzenia? — pyta dziennikarz francuski, i nie znajduje na to pytanie odpowiedzi.

Bo też jasnej odpowiedzi nie ma. Kwestia czarnych w Ameryce jest wciąż daleka od rozwiązania. Ze słów poety Denta przebija więcej przecież goryczy i żalu niż realizmu. Południe dla czarnych, a Północ dla białych? Więc jeszcze jedna segregacja? Więc nowe jeszcze bariery? Dość, że czarnych ogarnia rozpacz. Byli na dole za czasów Johnsona, Forda i Nixona. I są na tym samym dole za prezydentury Jimmy Cartera, który podczas kampanii wyborczej tyle im naobiecywał rzeczy dobrych i dusze pokrzepiających. No cóż, Carter jest baptystą, jest kaznodzieją, pozuje na moralizatora. Mówi wiele o prawach człowieka, poucza innych, ale jeśli problem praw człowieka jest gdzieś szczególnie palący, to nie gdzie indziej, tylko w Stanach Zjednoczonych.

Niedawno hamburski tygodnik „Die Zeit" w krótkiej, ale zjadliwej notce napisał, że **„Jimmy Carter ma wszystkie po temu zalety, by „zostać" prezydentem, ale niezmiernie mało ma cech po temu, aby „być" prezydentem. To człowiek słaby i chwiejny. Brak mu charakteru i siły woli w rozwiązywaniu zawiłych kwestii polityki międzynarodowej. Brak mu zdecydowania i uporu w rozwiązywaniu także tych wewnętrznych problemów Ameryki".**

Cykl reportaży Alain Carrona z paryskiego „Le Monde" zdaje się ten sąd potwierdzać.

Oprac. JAN BĄBIŃSKI

zdarzenia i zwierzenia

FELIETON BEZ TYTUŁU

Tytuł jest tym dla utworu co i dla człowieka. Określa bowiem i utwór i człowieka — z tą wszakże poprawką, że za tytułem człowieka może być tylko „tabula rasa" a za tytułem utworu musi jednak istnieć jakiś zapis — mniejsza o to, udany czy nie.

Z moich dziennikarskich doświadczeń pamiętam tytuł artykułu na temat jakiegoś zarządzenia władz Lasów Państwowych, głoszącego, że do lasów... nie wolno wchodzić. Było coś takiego przed laty. Mój tytuł brzmiał **„Las zamknięty na paragraf"**.

Natomiast mój kolega redakcyjny, pisząc sprawozdanie z obrad Konferencji Samorządu Robotniczego w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym zatytułował je niezwykle odkrywczo — **„KSR w MPK"**. Tytuł ten przeszedł już do legendy i nie wszyscy nawet wierzą, że to prawda.

Dlaczego piszę o tytułach? Otóż przeczytałem piękną i poruszającą książkę w której spory rozdział poświęcono tytułom. Wiele tu ciekawych informacji — niektóre są znane, inne mniej — które warto czytelnikom zaprezentować, gwoli zachęty do przeczytania całej książki. A zachęta taka bardzo książce jest potrzebna, ponieważ autor — znakomity erudyta, który bombarduje nas ogromem wiedzy — sam niestety tytuł wymyślił dziwaczny i mało zachęcający. Żeby było jeszcze trudniej autor wymyślił aż dwa tytuły dla swojej książki i oba widnieją na obwolucie.

Oto one **„Książek powijanie"** oraz **„Philobiblionska suita"**. Okazuje się, jak widać, że można zgłębić wszystkie tajemnice „tytułologii" a samemu trafić kulą w płot! Bo kogóż zachęci tytuł — **„Książek powijanie — Philobilionska suita"!**

Dla tej książki prawdziwym zatem tytułem jest znane bibliofilom i pisarzom nazwisko autora. Jest nim bowiem autor interesujących **„Odłamków wspomnień"**, krakowski bibliofil i wydawca — **Wiktor Frantz.**

Wróćmy przeto do tekstu krakowskiego wydawcy, który niejedną łatkę (i słusznie!) przypiął nawet uznanym sławom. Oto — pisze Wiktor Frantz — w roku 1959 **Artur Sandauer** wydał swoją głośną książkę **„Bez taryfy ulgowej"** — Bez wątpienia tytuł znakomity. Ale parę lat później tę samą książkę Sandauer wydaje pod tytułem **„Dla każdego coś przykrego"**. I wreszcie po następnych paru latach wydaje znów **„Bez taryfy ulgowej"**, choć właśnie to wydanie bardzo różni się od pierwszego.

Jest to — niestety — praktyka bardzo rozpowszechniona. Ale zdarza się także inaczej. **Eugeniusz Iwanicki** wydał w roku 1969 powieść **„Zmowa obojętnych"** a w cztery lata później krytyk **Mieczysław Orski** z Wrocławia wydaje też książkę pod tytułem... **„Zmowa obojętnych"**. Nie jest zresztą taka zbieżność niczym szczególnym w literaturze. Przypomnijmy choćby, że **„Krzyżaków"** napisał — oprócz **Sienkiewicza** — także **Józef Ignacy Kraszewski**, że nawet słynna **„Alchemia słowa" Jana Parandowskiego**, jest zapożyczona z Rimbauda **„Alchimie du verbe"**.

Często zresztą podobne tytuły nie wynikają z niewiedzy autorów, lecz są świadowym nawiązaniem do pierwowzoru, lub polemiką z nim. Tak było na przykład z powieścią **Jalu Kurka „Pod przełęczą"** — nawiązującą do słynnego w swoim czasie dzieła **Stanisława Witkiewicza — „Na przełęczy"**.

Tak było ze słynnym **„Palę Paryż" Bruno Jasieńskiego**, który w ten sposób podjął polemikę z antyradzieckim utworem **Paula Moranda „Palę Moskwę"**.

Z tytułami sprawa nieprosta. Rzadko zdarzają się tytuły, które zaczynają funkcjonować jako zwrot powszechny, odrywają się od utworu dając miano sprawie, epoce... Tak było z powieścią **Andre Malraux „Czasy pogardy"**, która ukazała się w roku 1935 jako pierwsza w światowej literaturze reakcja pisarskiego sumienia na okrucieństwa hitleryzmu. Ten tytuł błyskawicznie przyjął się jako nazwa czasu — i do dziś mówimy o tamtych latach właśnie tak — „czas pogardy".

Ale — jak się rzekło — takie celne tytuły trafiają się pisarzom rzadko Nawet tak pomysłowy pisarz jak **Melchior Wańkowicz** miał kłopoty z zatytułowaniem **„Karafki la Fontaine'a"** — dzieła koronującego jego twórczość. Wańkowicz na ostatnich stronach „Karafki" wyznaje, że miał... ponad 20 tytułów do swojej książki. M. in. takie — **„O pisarstwie", „Wymiana myśli", „Eseje", „Komentarze", „Z mego okna", „Spostrzeżenia", „Orędzie"**... Na szczęście pisarz wybrał tytuł piękny, metaforyczny, intrygujący i — przede wszystkim — najpełniej oddający intencję tej wielostronnej książki w której jak w kryształowej karafce załamują się promienie słońca dając kolorowe refleksy — coraz to inne w zależności od punktu widzenia.

Trudno wymyślić tytuł celny, intrygujący i pomysłowy — nic więc dziwnego że wolałem felieton o tytułach zatytułować... bez tytułu.

WIDOK

propozycje

DLA KOGOŚ, CZY DLA SIEBIE

Jak by tak uważnie przyjrzeć się życiu, to można dostrzec dwie przeciwstawne tendencje walczące z sobą o prymat. Z jednej strony zobaczymy życzliwość ludzką i dążenie do tego, aby ułatwiać sobie nawzajem życie a z drugiej — wygodnictwo i samolubność. I nie jest wcale prawdą, że są to tylko cechy indywidualne, występujące u poszczególnych ludzi. Cechy te da się też dostrzec w działalności niektórych instytucji. A bierze się to stąd, że ludzie kierujący tymi instytucjami wpływają na proces kształtowania się zasad funkcjonowania tych instytucji w taki sposób, że niejako nadają im swoje cechy indywidualne.

Napisałem w maju felieton pod tytułem „Z ograniczoną odpowiedzialnością". W felietonie tym cytowałem za „Expressem Ilustrowanym" historię z usuwaniem awarii w sieci elektrycznej przy ulicy Rybnej w Łodzi. W pewnym momencie okazało się, że pogotowie techniczne Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto nie może dalej interweniować gdyż sieć już wychodzi spoza kompetencji tegoż zakładu i wchodzi pod kompetencje pogotowia technicznego Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej. Zdziwiła mnie ta sytuacja, bo już skoro są fachowcy na miejscu, to mogą oni usunąć awarię, a nie wzywać inne pogotowie.

Aliści Zakład Energetyczny Łódź-Miasto przysłał mi wyjaśnienie, które nic nie wyjaśnia. W wyjaśnieniu tym Zakład Energetyczny Łódź-Miasto uprzejmie informuje, że „pogotowie nasze usuwa zakłócenia w urządzeniach elektroenergetycznych, będących na majątku i w eksploatacji Energetyki".

„Do urządzeń tych — czytam dalej w cytowanym wyjaśnieniu — należą między innymi: stacje transformatorowe, linie napowietrzne i kablowe wysokich i niskich napięć".

„W budynkach mieszkalnych urządzenia elektroenergetyczne naszego zakładu kończą się w złączu kablowym, a w przypadku zasilania z linii napowietrznej, granicę stanowią zaciski na izolatorach, zainstalowanych na ścianie...".

Z lektury tego wyjaśnienia wiem tyle, co już wiedziałem uprzednio. Formalnie otrzymałem wyjaśnienie w sprawie moich wątpliwości, które sprowadza się do poinformowania mnie o stanie faktycznym. A ja przecież ten stan poddawałem w wątpliwość. Merytorycznie nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na moje krytyczne przecież uwagi. Być może są jakieś wielkiej wagi powody, dla których potrzebny jest taki podział kompetencji i odpowiedzialności. Ja wiem z drugiej strony, że nie dysponujemy nadmiarem samochodów, potrzebnych dla różnych rodzajów technicznego pogotowia, że brakuje fachowców, że ze sprzętem i materiałami też różnie bywa. Miałem więc prawo zastanawiać się nad celowością takiego podziału. Rozumiem również, że główny inżynier Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto takiego podziału nie wymyślił, a zrobił to ktoś centralnie, więc on musi wykonywać zarządzenia jego zwierzchności, a nie mędrkować. Ale być może główny inżynier ma na ten temat swój pogląd i byłoby może dobrze, gdyby zwierzchność o tym się dowiedziała, jako, że odpowiedzi prasie przesyła się do wiadomości instytucjom nadrzędnym.

Z moich obserwacji wynika, że tak jak wśród ludzi ścierają się ze sobą altruizm z egoizmem, tak i coś podobnego występuje w działalności instytucji. Wydawałoby się, że wszystkie one zostały powołane do tego, aby służyły ludziom. Ale jak się bliżej temu przyjrzeć, to niektóre robią wszystko, aby tylko im było dobrze.

Proszę nie myśleć, że ja mam coś przeciwko naszej poczcie ukochanej. Przeciwnie, poczta mi się bardzo podoba, a nawet fakt, że czasem listy przychodzą z kilkudniowym opóźnieniem usprawiedliwia mnie i zwalnia od udziału w różnych, wcale nie interesujących konferencjach. Ale na poczcie też pracują ludzie i to pracują wcale nielekko. Bardzo się więc ucieszyłem, kiedy przeczytałem w „Expressie Wieczornym", że poczta też ma Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Program naprawy jest spory i interesujący. Między innymi myśli się o tym, aby wyposażyć niektóre przynajmniej urzędy w maszyny księgujące, komputery, automaty. Zamiast stać w kolejce do kolejnego okienka po znaczek pocztowy, czy inny pocztowy druczek, będziemy mogli kupić go sobie w automacie. Na wsi kioskarze „Ruchu" — jak się okazuje — mogą też być jednocześnie ajentami poczty. W Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Poczty wymyślono nawet „pocztę ruchomą".

Jak już wspomniałem, program jest bogaty i interesujący. Ale też wiele z ciekawych i pożytecznych pomysłów nie może być zrealizowanych, bo brakuje... sprzętu. Panienka z długopisem i elektryczną maszyna do liczenia okazuje się nie zastąpiona. Panienek — jak się okazuje — nie brak, chociaż to też nie jest pełna prawda, bo w wielu urzędach są pozamykane okienka właśnie z powodu braku personelu, czyli z braku panienek. Skoro nie ma panienek i nie ma automatów — choć to wcale nie jest taka nowość, w innych krajach automaty do sprzedaży różnych rzeczy znają od dawna — to trzeba spokojnie stać w kolejce i czekać aż się załatwi sprawę. I nie narzekać, bo jak zabraknie wszystkich panienek, to wszystko trzeba będzie na poczcie robić samemu. Oby to się nigdy nie stało!

MARCIN RODAK

Temat: MUZYKA na EKRANIE

Jeżeli miałbym wskazać redakcję telewizyjną, która ma do odnotowania najpoważniejsze sukcesy na ekranie w ostatnim czasie, wymieniłbym bezsprzecznie Redakcję Muzyczną. Jest to szczególnie godne podkreślenia i pochwały wobec punktu, z jakiego ona startowała. Rozpowszechniona była bowiem opinia, że muzyka poważna nie nadaje się na mały ekran, a jej domeną jest i powinno pozostać radio. Przez długi więc czas próbowano i eksperymentowano nieśmiało i z wielką ostrożnością.

Dziś wiemy już z całą pewnością, że muzykę można i trzeba prezentować w telewizji. Potrzeba jej jest jasna w obliczu niskiego poziomu umuzykalnienia naszego społeczeństwa. A że atrakcyjne i pożyteczne ukazywanie muzyki jest możliwe, udowodniła właśnie Redakcja Muzyczna kierowana przez Jana Webera.

Swoistym świętem podsumowującym osiągnięcia telewizji na tym polu był Dzień Muzyczny nadany ostatniej niedzieli w II programie TV. Przygotowany był łącznym wysiłkiem Redakcji Muzycznej i Studia 2, które w upowszechnianiu muzyki i kultury muzycznej ma także swoje niewątpliwe zasługi.

Dzień Muzyczny na antenie wypełniły powtórzenia najlepszych programów emitowanych na przestrzeni ostatnich miesięcy. Taka kondensacja była być może dla wielu telewidzów dawką zbyt mocną, dla zainteresowanych muzyką stanowiła jednak prawdziwą satysfakcję.

Tu pragnę zrobić ważne zastrzeżenie. Nie zamierzam pisać felietonu muzycznego, gdyż nie czuję się do tego powołany. Zajmując się jednak od lat problemami poetyki telewizyjnej, pragnę tym razem dokonać próby oceny obrazu, jaki towarzyszy na ekranach muzyce, i jego wartości widowiskowej.

W rozmowach przeprowadzanych przez Elżbietę Tarnawską, równie świetną pianistkę jak popularyzatorkę muzyki na ekranie, zwrócono naszą uwagę na znakomitych dyrygentów, na ich odmienny sposób prowadzenia orkiestry, na to jak ich wybitna indywidualność podporządkowuje sobie zespół instrumentalistów. Mieliśmy potem okazję oglądać Zubina Mehdę, dyrygującego Los Angeles Symphony Orchestra, Herberta von Karajana z orkiestrą Filharmonii Berlińskiej i Karla Böhma (dla miłośników ciekawostek: jest on teściem głośnej swego czasu aktorki filmowej Barbary Kwiatkowskiej) kierującego orkiestrą Wiener Philharmoniker.

Istotnie każdy z tej wielkiej trójki dyryguje zupełnie inaczej. Na przykład Mehda jest w ruchach i reakcjach na grę orkiestry spontaniczny i żywiołowy, podczas gdy Karajan umiarkowany, spokojny, precyzyjny. Wpływa to nie tylko na styl gry orkiestry, ale i na realizatorów telewizyjnych, którzy opracowując kształt widowiska, poddają się osobowości dyrygenta.

W niedzielę przypomniano nam tylko fragment filmu „Bolero", ukazującego pracę orkiestry z Los Angeles pod kierunkiem Mehdy, nad utworem Ravela. Przed paru miesiącami mieliśmy jednak możność oglądania całości tego fascynującego widowiska telewizyjnego. Zaczynało się od prób, podczas których dyrygent wymagał od poszczególnych członków orkiestry słownej analizy ich partii muzycznych. Uzasadnione to było faktem, że w „Bolerze" nie ma sytuacji, w której grupy instrumentów grałyby to samo. Tam każdy instrument ma swoje indywidualne zadanie i dopiero suma tych zadań stanowi finalny efekt orkiestrowy.

Wykonanie „Bolera" odbywa się bez publiczności, jedynie dla telewizji. Muzycy nie są ubrani we fraki i czarne suknie, są „prywatni". Kamera filmowa wyławia podczas koncertu pojedynczych instrumentalistów, tych samych, których wypowiedzi słuchaliśmy w czasie prób. Dzięki zsynchronizowanej pracy mikrofonów możemy jak gdyby kontrolować, w jaki sposób wywiązują się oni z przyjętych na siebie uprzednio zadań Rytm nadaje jednak filmowi fenomenalny temperament dyrygenta, który wydaje się wkomponowywać bez reszty w obraz telewizyjny.

Jakże inaczej uczestniczy w widowisku telewizyjnym Karajan! Tutaj nie dostrzegamy egzekwowania cząstkowych zadań od pojedynczych muzyków. Oglądamy ich w hieratycznie upozowanych grupach, nad którymi góruje przez cały czas postać dyrygenta. W nim syntetyzuje się wysiłek zbiorowy.

Trudno przecenić wartość poznawczą tego rodzaju programów. Ktoś wysunie może zarzut, że powołuję się wyłącznie na filmy zagraniczne. Proszę bardzo! Jest i polski przykład: film z wizyty Neville'a Marrinera, słynnego kierownika muzycznego londyńskiej orkiestry kameralnej Academy „Saint-Martin-in-the-Fields", u Polskiej Orkiestry Kameralnej. Wspólna próba z tą orkiestrą, którą przeprowadzili Marriner i jej dyrektor Jerzy Maksymiuk, dostarczyła bogatego materiału wizualnego. Ile tu było inwencji telewizyjnej, ile znakomitych zbliżeń, ile „prywatnych" ujęć obu wybitnych artystów! W każdym razie dość, by stworzyć fascynujące widowisko towarzyszące muzyce.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH
EUGENIUSZ IWANICKI

Obudziłem się potem zlany. Iwanicki był czytany.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

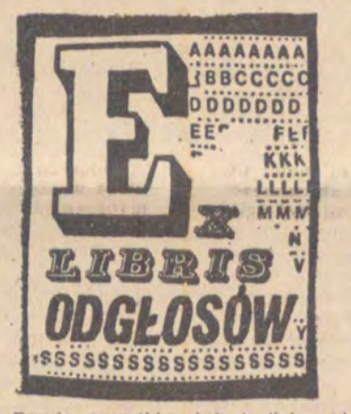

JANUSZ KORCZAK

W setną rocznicę urodzin Janusza Korczaka ukazało się piąte wydanie książki Hanny Mortkowicz - Olczakowej „Janusz Korczak". Należy podziękować oficynie wydawniczej „Czytelnika" za tę inicjatywę, bowiem nigdy dość utrwalania w pamięci potomnych wspomnień o tej pięknej, bohaterskiej i tragicznej postaci. Janusz Korczak był lekarzem, pedagogiem, literatem. Przede wszystkim jednak był mądrym, wspaniałym Człowiekiem. Któż dziecko nie wychowywało się na lekturze „Króla Maciusia Pierwszego"? Rzadziej sięga się po jego inne utwory literackie, rzadziej sięgamy do jego twórczości pedagogicznej, choć tyle tam prawdziwej, czułej mądrości, „Króla Maciusia" znamy jednak wszyscy. A co wiemy o życiu Korczaka?

„Legenda urodziła się rankiem w środę, dnia 5 sierpnia 1942 roku. Rosła gwałtownie w przeciągu paru godzin na przestrzeni kilku ulic warszawskiego getta. Ulice były następujące: Śliska, Sosnowa, Twarda, Żelazna, Nowolipie, Karmelicka, Zamenhofa, Stawki. Dzieliły sobą dom przechodni przy ulicy Śliskiej 9 na Sienną 16 od dawnego punktu przeładunkowego jarzyn przy ulicy Stawki. W domu na Śliskiej mieścił się czasowo Zakład Pomocy dla Sierot, wysiedlony przez władze niemieckie z własnej siedziby przy ul. Krochmalnej 92 — do getta. Punkt przeładunkowy na Stawkach niemiecka Vernichtungskommando zmieniła w okresie likwidacji getta w lipcu 1942 roku w tak zwany Umschlagplatz, skąd wagonami transportowano ludność żydowską do obozów śmierci. Tą drogą i tymi właśnie ulicami Warszawy przeszedł po raz ostatni w karnym i spokojnym szyku zespół dwustu dzieci z Domu Sierot pod wodzą swych wychowawców: doktora Henryka Goldszmita, znanego ogólnie pod pseudonimem Janusza Korszaka oraz Stefanii Wilczyńskiej".

Tak rozpoczyna swoją książkę o Korczaku, Hanna Mortkowicz-Olczakowa.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa, „Janusz Korczak", Czytelnik, W-wa 1967, str. 275, cena zł 37.

JEŚLI POWIEDZĄ CI, ŻE PADŁEM

W serii PIW — „Współczesna proza światowa", ukazała się powieść jednego z najpopularniejszych obecnie pisarzy hiszpańskich, Juana Marse, pt. „Jeśli powiedzą ci, że padłem". Debiutował w 1959 roku opowiadaniem, które zostało nagrodzone. Później wydał kilka powieści, również nagradzanych, bądź do nagród literackich pretendujących. Juan Marse zajmuje się także krytyką teatralną.

„Jeśli powiedzą ci, że padłem". to najgłośniejsza książka Juana Marse W roku 1973 uznano ją za najbardziej niezwykłą powieść hiszpańską ostatnich lat i w tymże roku była nagrodzona. Powieść opowiada o losach barcelońskich uliczników i wykolejonych dziewcząt z sierocińca. Na jej sensacyjną fabułę składa się kilka, przeplatających się ze sobą wątków, sięgających czasów wojny domowej i lat powojennych ukazujących tragizm i upadek moralny tego okresu.

Juan Marse, „Jeśli powiedzą ci, że padłem", przełożyła T. Marzyńska, PIW, W-wa 1978, str. 277, cena zł 55.

WARTO PRZECZYTAĆ

H. Balzak „Ojciec Goriot", Czytelnik, cena zł 20, Biblioteka Lektur Szkolnych.
St. Gola „Południe z Ikarem", Poezja. WL, cena zł 10.
J. Wechsberg, „Królowie walca. Życie, czasy i muzyka Straussów. PIW, cena zł 70.
R. Kałuża, „Nie przechytrzać natury". Czytelnik, cena zł 22.
R. Liskowacki „Wracamy do domu", Wyd. Poznańskie, cena zł 40.
A. R. Hajczuk „Dziczka — ziemia". LSW, cena zł 26.
J. Kornhauser „Zjadacze kartofli". WL, cena zł 10.
J. Piątkowski „Gwiazda wędrowna", WL, cena zł 10.
J. Prokop „Moja ziemska podróż", WL, cena zł 10.

MAGAZYN kulturalny nr 20 — wydanie specjalne wakacyjne!

OD MAGAZYNIERA

Dzisiejsze, „specjalne" wydanie naszego „Magazynu" właściwie nie ma w sobie nic specjalnego poza tym, że kończy drugą już dziesiątkę tego jakoś szczęśliwie utrzymującego się przy życiu fraymentu tygodnika i tym jeszcze, że przypada w środku lata. A to zobowiązuje...

Między zawsze aktualną i chętnie podejmowaną myślą o urlopie (i wszystkim, co się z urlopem wiąże), a wspomnieniami z urlopu, w których dominuje żywy akcent ochrony środowiska naturalnego (także łysych...) — oto jak sobie zakreśliliśmy tematykę dzisiejszego wydania „Magazynu" A jeżeli ktoś powie, że za mało ambitnie, odeślemy go po prostu do poprzednich dziewiętnastu wydań. I tyle.

To wydanie przeznaczone jest bowiem do czytania na ławce, na trawie i na plaży, w parku i w łódce, a także w pociągu na wczasy. Czytanie nie zabierze wam nawet kwadransa. Myślenie o tym co przeczytaliście także nie.

MAGAZYNIER

TADEUSZ GICGIER

AKWENY CISZY

Tak sobie zamierzył człowiek: niektóre obszary wodne uznać za akweny ciszy. Podjąć uchwałę o utrzymaniu ich w stanie naturalnym, podpierając ją ((uchwała musi być podparta) argumentami o potrzebie ochrony naturalnych środowisk przyrodniczych, niszczonej i zagrożonej flory i fauny wodnej, a w konsekwencji — naturalnych interesów człowieka.

A ponieważ to wszystko wydało mu się bardzo naturalne, posiedziawszy trochę nad jednym z akwenów, poszedł w las. Razem z nim poszła w las nauka. Natomiast przyszedł drugi człowiek, a ujrzawszy tyczkę, podpierającą uchwałę, wykopsał ją nogą. Argumenty rozsypały się jak koraliki i poginęły gdzies w trawie.

Drugi człowiek miał więc swobodę działania i zaczął ją odpowiednio wykorzystywać. Najpierw w zakresie indywidualnym. Wyciągnął z plecaka wino zwane popularnie sikaczem, odbił dłonią butelkę. Wino wydało mu się wyjątkowo cierpkie. wylał więc do jeziora zawartość butelki. Następnie otworzył konserwę mięsną, ale konserwa była zepsuta, więc wrzucił ją wraz z puszką do akwenu.

Nie wyczerpało to jednak pomysłowości drugiego człowieka. A że wyraźnie się nudził i chciał się rozerwać, wyjął z plecaka ładunek dynamitu i wrzucił go do jeziora. Wkrótce potem na powierzchnię jeziora wypłynęły ogłuszone ryby. Drugi człowiek rozpalił na skraju lasu ognisko, nadział jedną rybę na kij, upiekł ją nad ogniem i spożył ze smakiem. Poczuł w sobie przypływ sił witalnych, a zarazem potrzebę działania na szerszą skalę. Huknął na całe gardło, a potem skonstatował, że w gardle mu trochę wyschło. Ulokował więc plecak w zaroślach i idąc za zmysłem węchu, trafił do niezbyt odległego browaru. Odbywała się tu właśnie narada, gdzie odprowadzać ścieki z oczyszczalni. Nasz znajomy postawił wniosek. by odprowadzać je do pobliskiego akwenu. Wniosek przeszedł jednogłośnie, a wnioskodawca otrzymał w charakterze premii beczkę piwa.

Zatoczył beczkę nad jezioro, wrzucił do wody drugi ładunek dynamitu, upiekł znów rybę, podlał ją piwem i zadowolony z siebie i z życia położył się spać na mchu.

Miał ponury sen. Śniło mu się, że akwen zmienił się w cuchnące bajoro, po którego powierzchni pływają śnięte ryby. Na wodzie pełno było bąbli, które pękając wydzielały smrodliwe opary. Z drzew nad akwenem opadły wszystkie liście, drzewa stały czarne i nagie w środku lata, a ich pnie i gałęzie były rachitycznie powykręcane. Jedna z gałęzi przyczołgała się do niego jak wąż i zaczęła go oplatać. Wtedy obudził się z krzykiem, a obudziwszy się stwierdził. że to wszystko nie sen, a jawa.

Przy nim stał człowiek pierwszy. Patrzył na las i jezioro, które stało się idealnym akwenem ciszy: ani jednego głosu ptaka, ani jednego plaśnięcia ryby o wodę. Stał i dumał głęboko, bo nasiły go wątpliwości, czy o taką ciszę mu chodziło.

ADAM HOFFMAN — „PLAŻA"

Z wystawy rysunków w Galerii BWA
Foto: R. Łucyszyn

HORACY SAFRIN

Na wczasach

WSPÓŁCZESNA ZUZANNA
Chętnie półnaga wynurza się z fali,
żeby ją łacniej starcy podglądali

SYRENA BAŁTYKU
Ta złotowłosa morska podwika
szczebioce: „Kotku! Daj na „patyka"!"

„MARYNISTA"
Bredzi o morzach. Widocznie pan ów
czuje się swojsko pośród bałwanów.

NA WIDOK „CIUCHCI"
Słowa Galileusza
znów tu świadczyć gotowe:
„Ona przecież się rusza!
Eppur si muove!"

IZBY MIESZKALNE
Zbyt słone ceny?
Wszak to skanseny!

POWIETRZE
Pachnie kwiatami tu (nie to, co w mieście!)
i miodem pszczelim (kilo złotych dwieście).

NA WIEJSKĄ ŚLICZNOTKĘ
Ma liczko gładkie, usta jak z koralu.
Lecz wolę stronę odwrotną medalu.

W PRZYTULNYM W.C.
(według Mickiewicza)
Wrócił ze wsi — syt obór, szop, stodół, podwórek.
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek...

Rys. K. Baraniecki

KINO LETNIE

GALIMATIAS NIBY BAROKOWY

Dziwne doprawdy materii wszelkiej pomieszanie panuje w francuskim filmie „Barroco". Ta rozmaitość elementów: sentymentalizm i cynizm, sensacja polityczna i wulgarność, rzekomo głęboka psychologia i niby surrealistyczne odstępstwa od realności, nie składają się w sumie — niestety — na dobre dzieło.

Brak logiki i niejasność fabuły niekoniecznie kryć muszą niezmierzone głębie metafizyczne, które dostrzec potrafili niektórzy recenzenci...

...Za pieniądze można mieć wszystko, dzięki nim sięga się po nowe, lepsze życie. One pozwalają bez większego bólu przetrwać utratę ukochanego. Oto, jaką „filozofię" szerzy „Barroco"

A wszystko to (fabuła, filozofia...) nader pokretne i urozmaicone. Prostytucja i inne jeszcze morderstwa, cień wielkiej polityki i tortura gorąca para wodna, oto niektóre atrakcje filmu. Atrakcje, które wciągnęłyby bez wątpienia polskiego widza, gdyby ten nie zdążył się już od (dobrego) kina odzwyczaić... A to dlatego, że górny poziom sprowadzanych ostatnimi laty do nas filmów zachodnich (i to nie tylko na „sezon ogórkowy") wyznaczają właśnie filmy à la „Barroco"...

M. B. VOGT

SATYRYCZNY PUNKT RECENZENCKI „RYM" ajent: Ryszard Doroba

„OBIEKT STRZEŻONY"
Anny Markowej

Smutne, gdy to, co miało być dla żony,
obiektem staje się strzeżonym.

Nowa powieść
Jerzega Wawrzaka

Znajomości realiów
odmówi tylko wariat —
zna się z autopsji
to „WEJŚCIE PRZEZ SEKRETARIAT"

O wierszach Jana Huszczy
„OD STARORZECZA"

Czy je odczuje dziecię wieku,
w którym od rzek jest więcej ścieków?!

ADAM HOFFMAN — „WCZASY w MIEŚCIE"

Z wystawy rysunków w Galerii BWA
Foto: R. Łucyszyn

HOROSKOP

KOZIOROŻEC (22.XII.—20.I.). Ostrożnie ze słowami — inni wcześniej za podobne mowy tracili nierzadko stołki.

WODNIK (21.I.—18.II.). Poczekać do następnego horoskopu — to najrozsądniejsze z twojej strony.

RYBY (19.II.—20.III.). Książki, których od jakiegoś czasu szukasz, są nieosiągalne. Z nowości księgarnie polecają... starocie.

BARAN (21.III.—20.IV.). Te Barany, które wyjeżdżają na dłuższy urlop, mogą liczyć na przychylność losu. Pozostałe jednak spodziewać się powinny jedynie nawału pracy.

BYK (21.IV.—21.V.). Nie od dzisiaj denerwują cię stojące uparcie „ruchome schody" w Domu Handlowym „Uniwersal" Zaproponuj, żeby choć dyrektor tego supermarketu był ruchomy.

BLIŹNIĘTA (22.V.—21.VI.). Sprawa do załatwienia w Wydziale Paszportów tylko z pozoru jest prosta. Wymaga ona umiejętności pisarskich (wpisać się na listę pod numerem np. 81), wytrwałości i kondycji (doczekać swej kolejki), wreszcie sztuki dyplomacji (przyjść skutecznie następnego dnia). Najlepszy dzień — sobota, bo biuro nieczynne.

RAK (22.VI.—22.VII.). „Sopot 78" rozpocznie się niebawem — nie przegap okazji, by tę imprezę obejrzeć i... skrytykować (lub pochwalić). A może jedno i drugie?

LEW (23.VII.—23.VIII.). Nad propozycję współorganizowania Koła Młodych przy oddziale łódzkim Związku Autorów i Kompozytorów Utworów Rozrywkowych nie powinieneś się zastanawiać. W końcu czas uaktywnić się nie tylko towarzysko.

PANNA (24.VIII.—23.IX.). Masz szczęście! Zmieściłeś się ze swym nazwiskiem w normie 10 (dziesięciu!) liter. Chociaż za podpis pod telegramem nie będziesz płacił podwójnie.

WAGA (24.IX.—23.X.). Bez zmian.

SKORPION (24.X.—22.XI.). Sytuacja trenera J. Gmocha, która od dłuższego czasu zajmuje twoją uwagę, ustąpi powoli innym zagadnieniom. Ważne, że po „Mundialu 78" Deyna pozostał chłopakiem na 102 (mecze).

STRZELEC (23.XI.—21.XII.). Nie czepiaj się Donosiciela. Nawet królowie winni są wdzięczność Anonimowi. Pamiętaj o tym...

* * *

UWAGA: Ze względu na liczne listy z prośbami o uściślenie, kogo dotyczą poszczególne przepowiednie horoskopowe dla kolejnych znaków, oraz w związku z pomyłkami w odczytywaniu (np. zbyt wiele osób wzięło do siebie horoskop Barana, a prawie nikt — Lwa), dzisiaj podaję przy każdym ze Znaków Zodiaku daty pomiędzy którymi zawierać musi się dzień urodzenia osobnika, aby mógł on przywłaszczyć sobie daną przepowiednię.

DONOSICIEL

POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ" świadczy usługi dla ludności

Ambitni członkowie PSP nie chcieli pozostawać w tyle za panami Horacym Safrinem i Tadeuszem Gicgierem, i na apel Prezesa dostarczyli pewną ilość utworów, związanych z odwiecznym w naszej literaturze tematem przyrody. Wybraliśmy dwa.

Pani Michalina Jakubowska z Tomaszowa Mazowieckiego opiewa Puszczę Jodłową, a pan Roman Pietruszka z Pabianic... Suwalszczyznę. Ten, kogo zainteresowania geograficzne naszych poetów zdziwią, z pewnością zmieni zdanie poddając się subtelnym wizjom przyrody kreślonym przez nich, a nawet być może skorzysta z rady zawartej w utworze R. Pietruszki i odwiedzi jeziora i lasy Suwalszczyzny...

PREZES

PUSZCZA JODŁOWA

Pomnę urzekający czar Jodłowej Puszczy.
Jej wiecznotrwały, tajemniczy śpiew
niósł się jak smętnej dumki drżenie
Jak cudownego piękna zew

W głuszy i mroku jodłowego boru
szedł ku mnie spokój i ogromu moc
Kwiaty pochyliły swe kielichy
Jakby czekały na sen o szczęściu
i tajemniczą, świętokrzyską noc.

W oddali widniał szczyt Łysicy
i skalne bloki goloborza.
Łany paproci kłaniały się nisko
zapraszając do leśnego poloneza.

Michalina Jakubowska

SUWALSZCZYZNA

Każdy człowiek mi to chyba przyzna,
że czar uroków posiada Suwalszczyzna.
Błękity wód, zieleń, czernie lasów.
— Czy to nie wymarzone miejsca wczasów?

Roman Pietruszka

Rys. J. Skoniecznу

FELIKS RAJCZAK

Z AFORYZMÓW

Najpiękniejsze są zmierzchy w oczach krowich.

ŁYSEMU BIADA...

Cała sprawa zaczęła się wtedy, gdy dyrektor pewnej wytwórni kosmetyków wyłysiał kompletnie. po kilkuletnim zmywaniu głowy w zjednoczeniu i ministerstwie. Niby to nawet i wygodnie, bo przecież odpadają wreszcie kłopoty z fryzjerem, grzebieniem, szczotką, przedziałkiem, przeróżnymi kapilofilami i innymi fryzamentami. Ale to tylko na pozór. Bowiem niby czemu taki łysy miałby zaniedbywać swój czcigodny czubek i mniej się kosmetyczyć niż kosmaci? Łysy to też człowiek! Jemu także zależy na efektownej aparycji i nienagannej prezencji itd. Łysina winna więc być utrzymana jak należy, najlepiej na wysoki połysk. Każdy łysy ma do tego pełne, niepodważalne prawo.

Potrzeba jest matka wynalazków, tak więc dyrektor wykoncypował sobie, by rozpocząć produkcję specjalnych szamponów dla łysych. Jak pomyślał, tak zaczął działać. Wydał zatem odpowiednie dyspozycje zakładowej komórce naukowo-badawczo-wynalazczej, technologom analitykom i racjonalizatorom. Społem wzięto się do dzieła. Rychło opracowano całą gamę znakomitych szamponów dla łysych. Nawet szampony tonujące, koloryzujące, kryjące, maskujące i fosforyzujące, stosowne na każdą okazję. Dyrektor zacierał ręce. Nic, tylko zacząć...

Atoli w tym momencie sprawa „się rypła". By ruszyć z produkcją należało wpierw „założyć" plan. Ten zaś, jak powszechnie wiadomo, musi opierać się na danych, wskaźnikach, dyrektywach i innych wytycznych. A tu akurat brakło wskaźnika zasadniczego, mianowicie wskaźnika „popytowości". Żaden bowiem urząd nie „zabezpieczył" statystyk łysych. Nie było też żadnych badań socjopsycholysologicznych.

Nijak więc nie można było ustalić, ile czego produkować dla kogo oraz w jakich rozmiarołysościach? A bez planu ani rusz. Jak nie ma planu, to i nie ma czego wykonywać ani z czego. No bo niby jak? Bez rozdzielników, przydziałów, limitów, mocy przerobowych i kooperacji?

Nic z tego, choćby nie wiadomo ilu łysych zgrzytało zębami, z dyrektorem włącznie. Że im łysо akurat? No i co z tego?

„Ancymonek"

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 i 680 99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł. kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Nr indeksu 26762. Zam. 1675. I-10.